Nr. 11 (1107). Warszawa, dnia 2 (15) Marca 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa. Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Kawior p. Richthofena. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Serce (ciąg dalszy), p. M. Grossek. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Ochrona kobiet, p. Zen. Piet. — Z nad Warty i Odry, p. Pośrednika. — Listy z Francyi, p. dr. J. Zielińskiego. — Uniwersytety ludowe na rozdrożu, p. For. — FEJLETON: Pamiętnik.—BADANIA NAUKOWE:—Dzieje Polski na podstawie ekonomicznej, IV, p. dr. K. Krauza. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. A. Drogoszewskiego. — Odczyty, p. wł. st. — POLEMIKA: O prawdę. In verba magistri? p. K. Kr. — Doniesienia urzędowe.— Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

Kawior p. Richthofena.

Wiadomo światu całemu, jakich rozkoszy kulturalnych zażywają rodziny boerskie w tak zwanych obozach koncentracyjnych. Tę swoistą instytucyę anglo-afrykańską wydała z siebie nie litość nad opuszczonymi przez mężów, ojców i braci broniących ojczyzny, nie uczucie ludzkości nad zagrożonymi napaścią, rabunkiem, pożogą, ale brutalny fakt zburzenia osad boerskich, którego dokonali Anglicy dla ułatwienia działań wojennych sobie samym, a utrudnienia ich ofiarom swej kultury. Taka geneza wystarcza już do napiętnowania całego płodu angielskiej sztuki rządzenia i zarządzania krajami nieprzyjacielskiemi, i angielskich metod prowadzenia wojny. Hańba też przylgnęła już na zawsze do tej genialnej pomysłowości, która z łona swego wydała obozy. Stały się one dla spędzonych dzieci, kobiet i starców jaskiniami moru, stały się cmentarzyskami wołającemi o pomstę do tego nieba — którego nad widownią dziejów daremnie pożąda nieukojona w żałości, niezrażona barbarzyństwem uczuciowość człowiecza.

W ciągu niespełna pół roku 1902-go zmarło w Transwalu i Oranii w tych warowniach śmierci przeszło 4,000 maleństwa — z głodu, chłodu, upału, wilgoci, brudu, zarazy i — opieki żołnierskiej. Spółka, czy rada zarządzająca wielkiej spółki kupców i patryotów angielskich, jaką jest gabinet Salisburego-Chamberlaina w stosunku do Boerów i od samego początku tej wojny — była dość zuchwałą, aby nawet o obozach koncentracyjnych w parlamencie mówić z całą pewnością siebie i tylko liczby, urzędownie przecież podanej, bo jej zeskamotować nie było można, nie obierała sobie za temat do swych wiarołomnych popisów.

Jedną z największych komedyj, jakie wyprawia sobie Asmodeusz dzisiejszy z dzisiejszego człowieka i jego instytucyj, jest sympatya dla Boerów. Wogóle ten wiek nasz nie jest wiekiem sympatyi, jest wiekiem realów, realnych wartości. Na powierzchni życia one jedne tylko coś znaczą. Kryją się w głębinach „interesa idealne“ — zestawienie dziwaczne, trądem owych realów zarażone — ale ich idealizm biegnie najczęściej po tak doskonałej równoległej, że się z owymi realami, przy których jest władza i moc, spotkać nia może. Owa manifestacya francuska na powitanie Krugera, która istotnie mogła niejednego oślepić, w rzeczy samej okazała się — piaskiem rzuconym w oczy. Sympatye niemieckie miały znaczenie raczej symptomatyczne nienawiści — do owego realizmu życia będącego zarazem i pozytywizmem urządzeń społeczno-politycznych, niż współczucia czynnego, w energię do czynu potrzebną wyposażonego. Niemcy rozłamały się odrazu na rząd i naród. Ces. Wilhelm szybko schował swój idealizm z r. 1896 do worka, w którym spoczywają spokojnie i jego przeciw-chińskie rysunki i jego filogermańskie kompozycye i jego brandenburskie mowy i jego teorye jedynej rzetelnej sztuki. W narodzie, w wykształconych i w ludzie, dotrwało, chociaż w szczupłych granicach społecznych, uczucie nienawiści ku wojnie, ku barbarzyństwu i ku Anglikom. Z tego lepszego nastroju, w którym wykształceni ulegali wpływowi stowarzyszenia etycznego, wyszedł w Niemczech komitet pomocy dla Boerów, głównie dla zaopatrzenia owych jaskiń, obozami nazywanych, wytworzony. Długi czas Anglia nie pozwalała nawet przystąpić do siebie, gdy komitet chciał nieść pomoc, a rząd za nim się wstawiał. Teraz dopiero, gdy już powymierało zapewne więcej niż żyje, gabinet angielski nie tamuje pomocy, z zasady godności rządu i narodu, i pozwala przesyłać zasiłki dla nieszczęśliwych.

O tem złagodnieniu leoparda brytańskiego zawiadomił p. Richthofen, sekretarz stanu do spraw zagranicznych Rzeszy — drugą Izbę pruską d. 11 b. m. Anglia wytworzyła na miejscu komitet własny, przed którym uledz musi niemiecki. Zasiłki będą szły bez cła, bez frachtów, bez opłat jakichkolwiek, będą szły i dojdą, ale komitetowi niemieckiemu od chwili wysłania dotknąć się ich już nie wolno. Taki jest „wielki krok naprzód,“ stwierdzony przez urzędowego mówcę. Jako dyplomata p. Richthofen nie mógł nie wypalić kazania ku nauce i zbudowaniu tych, którzy się Boerami zajmują. Nie trzeba drażnić Anglii; lepiej jest życzliwem słowem wysługiwać sobie „zdwojoną“ jej wdzięczność. Nie trzeba się cieszyć z jej niepowodzeń, „zwłaszcza“ że ostateczny wynik wojny dla nikogo wątpliwym być nie może. Jako zasiłek dla komitetu niemieckiego dał mówca od siebie radę wstrzemięźliwości. Zresztą, prawda przedewszystkiem — zwłaszcza dla ministra pruskiego: jest zapewnienie ze strony zasługującej na wiarę, że warunki hygieniczne w obozach znajdują się w stanie „wręcz wzorowym.“ Utyskiwania idą za

daleko. „Jeńcy nie mogą przecież wymagać, aby ich raczono *kawiorem*“ itd.

Ten „kawior,“ w tych typowych ustach przedstawiciela państwa — sam typem się staje. Wzgardliwego wyrazu używa p. Richthofen na określenie praw i potrzeb już nietylko samych ofiar wojennych, ale strony słabszej w wojnie, której „rezultat dla nikogo wątpliwym być nie może.“ Silny, według niego, ma zawsze za sobą domniemanie prawa; słaby, mając mało, zawsze jeszcze ściąga na siebie podejrzenie, że żąda za wiele. Takiej ewangelii trzyma się sekretarz stanu, a niejeden z ministrów nietylko mu przyklasnął, ale jego zasady podziela i w podobny sposób bronić ich byłby gotów.

Jest to nie współczucie, ale otwarta z niem walka — drwinami powyższej ewangelii prowadzona. Takie współczucia z narodów i ze społeczeństw wychodzące, o ile nie mogą być przez rząd dany w tej chwili przetopione na realy polityki, są dla niej szkodliwe: co najmniej, naprzykrzają się jej, jeśli nie nękają jej dostojnego jestestwa. Prawo w człowieku czy w narodzie, współczucie dla niego w szerokich czy wazkich, ale w każdym razie w masach, — jest zawsze osą kąsającą męża stanu, przekonanego o swojej własnej i zadań i trudów swoich podniosłości. Prawo powinno być w aktach, w zbiorach na to przeznaczonych, a nie w piersiach ludzkich, współczucie zaś ma wtedy tylko wagę, gdy wychodzi z serca statysty lub dyplomaty. Gdy to serce zadrga, wtedy dopiero ideał jakiś nabiera owej jedynej wartości, coś wartej na świecie — wartości realnej... Rozumy i ludzie, obracający się w tych kręgach wybranych, wysoko po nad szarzyznę życia wyniesionych, tworzą jak gdyby cech osobny, wszystką mądrość, wszystkie dobra i wszystkie szczęśliwości świata na warsztatach swoich wyrabiający. Kto nie należy do cechu, ten może tylko majaczyć, bredzić, fuszerować: w cechu jedynie i pogląd trzeźwy i uczucie rzetelne i zbawienie pewne.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Czesi ułożyli już projekt równouprawnienia obu narodowości w Czechach i Morawii. W sądzie i urzędzie w telegrafie, poczcie, telefonie, w całym kraju każdy ma prawo używać swojej mowy ojczystej, i w niej wymagać załatwienia i przeprowadzenia swojej sprawy. W okręgach z narodowością przeważającą, język jej będzie językiem wewnętrznym biur; w mieszanych oba. Jest to powrót do zasady średniowiecznej, przywiązującej prawo do osoby, a nie do ziemi. Niemcy odrzucili już projekt czeski—z powodu tej właśnie zasady; im się chce koniecznie podziału Czech.

Po zapowiadanym przez jakie dwa tygodnie przesileniu ministeryalnym w Hiszpanii d. 10 b. m. minister skarbu oświadczył w kortezach, że o przesileniu niema mowy.

W Konstantynopolu jakby przed przewrotem. Trzej baszowie, między nimi Fuad, adjutant sułtana, uwięzieni, pierwszy z nich już wygnany. Podwojone patrole i straże. Więzienie sułtana Amurata otaczane na noc potrójnem kordonem. Książęta krwi nie wypuszczani z mieszkań. Mnóstwo oficerów aresztowanych. Zniechęcenie ogólne. Nożyczki Abdul-Assiza same napraszają się do ręki.

W Chinach w Kwang-si, powstanie, kierowane przez „związek trójcy.“ Powstańcy palą podobno i rabują — może tylko w buletynach.

Magistrat poznański wyrzucił stowarzyszenie Sokoła z budynku miejscowych szkół średnich. — *Nowej Reformie*, *Czasowi* i *Dziennikowi Polskiemu* odebrał rząd debit w Niemczech na dwa lata. — W Szamotułach zmarł 11-letni Franciszek Wtorkowski, skatowany przez nauczyciela. Robiono sekcyę, ale nie ogłoszono jej wyników. — Obecnie już 4 redaktorów *Pracy* siedzi w więzieniu: Bąkowski, Korfanty, Siemiątkowski i Kaniewski. Redaktora *Górnoślązaka* (od 1 stycznia r. b.), Kamieńskiego d. 27 lutego skazano na 8 miesięcy więzienia za artykuł „Pruska władza wychowawcza.“

Rząd angielski wstrzymał pułk wysyłany już do Afryki; potrzebować go będzie w Irlandyi, gdzie wrzenie wzrasta. Wyndham, sekretarz wice-króla, odradzał w parlamencie rozrzucenie głównego ogniska, którem jest Liga irlandzka: mogłoby to pobudzić związki tajne do rewolucyjnych represaliów. Mówca, wiedząc co mówi, doradza powrót do Gladstone'a: zniesienie landlordyzmu i rozdanie ziemi ludowi. Rząd ma oskomę na nowe prawa prześladowcze.

Izba gmin d. 10 b. m. uchwaliła nowy etat armii angielskiej w stanie czynnym. Na trzy dni przedtem upadł bill o 8-godzinnym dniu pracy. Jeden głos przeważył (208—207).

D. 10 b. m. Izba deput. w Paryżu uchwaliła budżet 398 głosów przeciwko 64.

D. 4 b. m. na Szabac nad Sawą napaść zamierzył zostający w stosunkach z Piotrem Karadżeordżewiczem i krewny jego Alawantież. Znalazłszy się w koszarach w mundurze generała, zaczął już wydawać fałszywe rozkazy, gdy nadbiegły dowódca żandarmeryi na miejscu go położył trupem. Nazajutrz w Skupczynie odbyła się demonstracya wierności dla dynastyi.

Cambell-Bannerman wystąpił z nową a wielką mową przeciw rządowi: Salisbury wywołał wojnę, trzeba się układać o pokój; naród go pożąda.

D. 5 b. m. podpisano w Bruxelii układ o cukier. Cło najwyższe 6 franków, premia zniesione.

D. 6 b. m. prezes ministów Deuntzer wniósł na folke-thing kontrakt ze St. Zjedn. Ameryki Północnej o sprzedaż Antyllów duńskich.

Poszczęściło się Boerom. Delarey zaskoczył oddział Methuena. Jego samego i 200 oficerów i żołnierzy zabrał do niewoli. 41 Anglików położył trupem, 77 zadał rany. Liczby angielskie. Miejsce spotkania między Wynburgiem i Lichtenburgiem w Transwalu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OCHRONA KOBIET.

Kobiety zawsze były ofiarami urządzeń społecznych. Nigdy jednak ofiary te w najróżnorodniejszych kategoryach nie były tak liczne, jak w okresie panowania kapitału. Odkąd na rynki pracy rzuciły się rzesze niewieście,

---

11)

M. Grossek.

SERCE.

X.

Był w miasteczku jarmark na bydło. Targowisko w środku żydowskiej dzielnicy wrzało i trzęsło się, jak kocioł nad płomieniem. Wóz stał przy wozie, i przecisnąć się pomiędzy nimi nie było można. Apatyczne hetki, zwiesiwszy łby, oganiały się od much ogonami; gdzieniegdzie koń przyjaciel położył łeb na karku towarzysza. Na wozie, siedzące na straży, stare baby drzemały, żując cebulę z chlebem. Gdzieindziej „mołodycia“ trzymała na kolanach, wrzeszczącą, w łachmany zawiniętą, ludzką „kuklę,“ która okrągłą jak u ryby, otwartą szparą chwytała obwisłą piers matki. Matka tymczasem, nie przestając się gapić, suszyła zęby w uśmiechu, o którym zapomniała. Pod wozami, jak szczury, przemykały się żydziaki z tradycyjnym fontaziem. Pies z kołtuniastym ogonem szukał odpadków w kałuży i, skomląc, umykał z nogą przetrąconą. Gęsi wydawały ostre, krzyki oburzenia, łaskotane haczykowatymi palcami żydówek, które zaledwie wlokły za sobą obszargane spódnice i pantofle ciężkie od wiosennego jeszcze błota. Poważne krowy dźwigały się niechętnie do coraz nowych oględzin. Luźne konie gryzły się, wydając kwiki świńskie. Swinie protestowały rozpaczliwie, konwulsyjnie drygając nogą na powrózku. Tylko opasłe wieprze drzemały rozwalone na wozach, przymykając powieki z niezrównaną powagą świńską. W pośrodku rynku nędzne stragany i budy jarmarczne, w jeden szereg zsunięte, ziały czarnemi jak smoła wnętrzami: istne piekło z przegródkami, zawalone masą rzeczy brzydkich i cuchnących, w którem wrzały głosy chrapliwe i szybkie jak kołowroty, a ludzie roili się jak robactwo. Wisiały tu krwawe połcie mięsa i żółta słonina, brunatne i czarne skóry, kożuchy, czapki, buty, żelaztwo, powrozy, sznurki bursztynów szklanych i korali z laku, bawełnice nasycone taniemi barwikami: czerwone, jak burak lub cegła, żółte jak nasturcya, zielone jak ruta, szafirowe jak papier mydlarski lub wszystkich tych barw połączonych we wzory jaskrawe. Koło nich zebrała się gromadka wiejskich kokietek, parlamentując krzykliwie z męzką młodzieżą, zgrupowaną przed szynkiem. Drożyli się niby i drażnili wzajemnie, wyzywając na drwinki, wyśmiewania: „ty mini duże potrybnyj“!—„o wa! jaka popadja“! „kosolapyj“!—„zubata“! — A tymczasem co innego mówiły oczy i śmiech, odsłaniający zęby białe aż po dziąsła. Naprzeciw pijanego rezolutnego chłopa stał pijany chłop-desperat. Jednemu „kapeluch“ oparł się aż na karku, drugiemu zwisł na nosie, nogi im zmiękły od wódki i gięły się w kolanach. Chłop zuchowaty ciął perorę, i co chwila prawice uderzały się „na zgodę,“ a po kilku godzinach rozeszli się o parę groszy. Desperat przywiązywał napowrót krowinę do woza, a żyd stroił do niego umizgi zalotnika: głową kręcił, językiem mlaskał, przykucał, podskakiwał z zachwytu, drepcąc wokoło „ślachcica,“ któremu głowa z oczami włazła w „kaśkiet.“

Nad tem wszystkiem wisiało w górze niebo bezbarwne, i stało rozpalone do białości słońce. Powietrze nieruchome, gorące jak w piecu, sprawiało dławienie w gardle, wskutek unoszącego się w niem pyłu, i rozbrzmiewało nieustannym turkotem jakgdyby, toczących się w przepaść, ogromnych mas żwiru.

Ciszej i luźniej było tylko na paradnym chodniku przed panią „Duwydową.“ Była to najpiękniejsza w miasteczku kamienica, w której mieścił się największy sklep, pierwszorzędny zajazd, biuro informacyi, pośredniczeń i zleceń, a także bank pożyczkowy i lombard. Pani Duwydowa, osobistość znana w całem mieście i okolicy, siedziała jak zwykle w słomianem krześle, we drzwiach swego sklepu, zsunąwszy okulary na czoło i złożywszy na bladożółtej sukni bezczynne ręce, jak przystało mądremu człowiekowi. Na twarzy jej starej, „kombinującej,“ był wieczny, nico-

odkąd stworzyły zastępy tanich sił roboczych, odkąd zmuszone są wychodzić z pod skrzydeł opiekuńczych rodziny i walczyć o ciężki byt, — stanęły na pochyłościach moralnych i materyalnych, po których słabsze, złamane katastrofami i klęskami życiowemi, mało odporne, staczają się w przepaści i bagniska.

Gdzieindziej już oddawna myślą o środkach przeciwdziałania, a jakkolwiek prawie wszystkie one są paliatywami w mniejszym lub większym stopniu wobec niemożności zniszczenia przyczyn złego, tkwiących w głębi ogólnych warunków i urządzeń bytu, to jednakże walka ta przynosi pewne wyniki dodatnie, a co najważniejsza, — daje ona kobietom otuchę i poczucie człowieczeństwa. Są instytucye, są całe szeregi organizacyj, które widząc w każdej kobiecie człowieka, walczą o jej godność, a nawet usiłują odnaleźć i odrodzić pierwiastki owej godności w tych, które stoczyły się do głębin mętów społecznych.

U nas dotąd nic jeszcze w tym zakresie nie zrobiono i oto dopiero teraz zatwierdzono ustawę nowej instytucyi o charakterze filantropijno-społecznym. Fakt ten ma znaczenie tak niezwykłe i doniosłe w naszych warunkach, że niepodobna pominąć go milczeniem. Przedewszystkiem przyjrzyjmy się zasadniczym zadaniom tej instytucyi. Ma ona na względzie ochronę dziewcząt i kobiet od upadku, oraz dopomaganie kobietom upadłym do powrotu na drogę uczciwą. W tym celu Towarzystwo ma prawo: zawiadamiać sąd właściwy o wykrytych przez siebie wypadkach, w których jest niezbędne utworzenie opieki nad sierotami i dziećmi opuszczonemi. Dopomagać rodzicom niezamożnym i opiekunom w wyszukaniu dla dzieci odpowiedniej opieki i zajęcia. Dopomagać dziewczętom starszym i kobietom młodym w wyszukaniu pracy uczciwej. Zabezpieczać dziewczęta i kobiety młode od grożących im niebezpieczeństw przy poszukiwaniu pracy. W tym celu między innemi ma wywieszać na stacyach kolei żelaznych, przystaniach statków parowych itd. zawiadomienia odpowiednie oraz ostrzeżenia *); zapobiegać wywozowi młodych dziewcząt i kobiet niedoświadczonych za granicę, oraz wogóle przeciwdziałać handlowi żywym towarem; latem, podczas ograniczenia robót w pracowniach, dopomagać młodym robotnicom, pozbawionym pracy i środków utrzymania, do wyszukania zajęcia w mieście lub na wsi; nakłaniać do życia moralnego kobiety i dziewczęta leczące się w szpitalach i przytułkach położniczych; wyszukiwać dla nich pracy uczciwej po opuszczeniu szpitala i, w razie potrzeby, dostarczać im stosownego przytułku czasowego; utrzymywać agentów, zaopatrzonych w zaświadczenie zarządu, celem wypełniania poleconych im obowiązków; wydawać i rozprzestrzeniać cenzuralne książki i broszury w sprawach objętych działalnością Towarzystwa; urządzać odczyty i wykłady publiczne o korzyściach życia moralnego oraz o następstwach rozpusty ze stanowiska religii, moralności i hygieny; ułatwiać kobietom i dziewczętom upadłym umieszczenie w istniejących w Warszawie zakładach dla poprawy kobiet tej kategoryi; otwierać różne zakłady, wchodzące w zakres działalności Towarzystwa, mianowicie: sale rozrywek i zajęć dobrowolnych dla dziewcząt i kobiet niezamożnych w celu dostarczenia im rozrywek godziwych w czasie wolnym od pracy; schroniska dla pobytu tymczasowego dziewcząt i kobiet przyjezdnych, pozostających bez zajęcia lub zmieniających służbę, w których mogłyby się przygotowywać do zajęć rozmaitych, wreszcie schroniska dla dziewcząt i kobiet pozbawionych ogniska rodzinnego.

Towarzystwo bierze w opiekę wyłącznie kobiety chrześcianki i otwiera zakłady osobne dla każdego wyznania chrześciańskiego.

Jak widzimy, zakres jest dość szeroki, nie dorównywa on wszakże zakresowi organizacyj tego rodzaju za granicą. Ponieważ w miarę gromadzenia środków, Towarzystwo ma wznosić różne zakłady i rozwijać swą czynność, byłoby więc rzeczą wielce pożądaną, ażeby zechciało wzorować się na urządzeniach i zadaniach instytucyj takich istniejących za Oceanem. „Związek chrześciański młodych kobiet" („Women's Christian Association"), utworzony w New-Yorku, pozakładał oddziały prawie we wszystkich większych miastach Stanów Zjednoczonych; urządził kursy bezpłatne, na których dziewczęta mogą się uczyć arytmetyki handlowej, buchhalteryi, pisania na maszynie itd. Towarzystwo posiada także klasy artystyczne z wykładem fotografii, kreślenia, rysunków, modelowania. Nadto, pod opieką tej instytucyi istnieją biura, ułatwiające poszukiwanie pracy i mieszkań tudzież sprzedaży wyrobów kobiecych. Prócz tego utrzymuje ono internaty dla robotnic (*boarding houses*), umeblowane, widne, czyste, wygodne i przystępne. Za 3- 5½ dolarów tygodniowo, robotnica ma tam mieszkanie, całodzienne utrzymanie, opał, światło, pranie bielizny; nadto może korzystać z pokojów gościnnych, biblioteki, czytelni. Mieszkania takie urządzają również inne towarzystwa. Przy tych domach istnieją klasy, w których lokatorki mogą się uczyć szycia i kroju bielizny, tudzież sukien wreszcie gospodarstwa domowego. Nadto za bardzo skromną opłatą wykładane są języki, buchhalterya, nauka pisania na maszynie, stenografia, kreślenie, rysunki itd. Biura specyalne przy tych domach poszukują pracy dla kobiet. Osobna komisya pod nazwą „Pomoc dla podróżnych" („Travelers' Aid"), chodzi na statki, wskazuje kobietom internaty i udziela najniezbędniejszych informacyj w celu wyszukania pracy. Większość tych mieszkań powstała na podstawach kooperacyjnych.

Oprócz powyższych urządzeń, Ameryka posiada mnóstwo towarzystw, ułatwiających środki istnienia pracownicom. Jedno z nich („Working Woman's Protective Union") broni kobiety przed oszustwem i wyzyskiem niesumiennych zarobkodawców, ułatwia wyszukiwanie pracy i zdobycie placówek jeszcze niezajętych przez siły kobiece. W ciągu 5-letniego istnienia Towarzystwo to wygrało przeszło 12,000 spraw robotnic na sumę 40,000 dolarów. Wogóle zaś w tym okresie udzieliło pomocy pod rozmaitemi postaciami znacznej rzeszy kobiet, liczącej przeszło 300,000. Ponieważ wiele z nich zwracało się kilkakrotnie, więc przeciętny rachunek daje 10,000 kobiet, korzystających z usług owej instytucyi.

Drugie Towarzystwo, stworzone w Bostonie pod nazwą „Women's Educational and industrial Union," również walczy o wypłatę zarobków, zatrzymywanych niesprawiedliwie; nadto bada pobudki i pochodzenie ofiarowywania zajęcia kobietom w domach, aby zapobiedz oszustwu i róż-

*) Drukowane w języku rosyjskim i dowolnie w polskim tudzież cudzoziemskich, z warunkiem aby teksty polski i cudzoziemskie były drukowane równolegle z rosyjskim.

---

kreślony „pański" półuśmiech. Duwydowa, natura nawskroś arystokratyczna, za arystokracyą przepadała. Lubowała się nią tak, jak inni kwiatami, obrazami, śpiewem, zbiorami, końmi— to była jej słabość. Białe ręce z polit urowanemi paznokciami, wykształcone rysy twarzy, wstrzemięźliwe ruchy, wyrafinowane upodobania i potrzeby, te niezrównane nie dające się nikomu naśladować „pańskie fantazye," które chłop małoruski wzgardliwie nazywa „pański wydumki," stanowiły dla Duwydowej przedmiot ekstazy — był to jej rarytny, extra fajn, delikatny towar, którym umiała jak nikt obracać.

Duwydowa lubiła opowiadać, jak dobrze jest postawioną, jakie ma wpływy w sferze obywatelskiej—„moja kochana pani Duwydowa"—„bądź łaskawa pani Duwydowa!" „polecam się łaskawej pamięci pani Duwydowej"—mówili do niej panicze. Obywatelki radziły się jej przy wyborze zięciów. Ona wiedziała takie tajemnice: „co żeby jeden „chuch" wypuściła z gęby—cały Wołyń od tego by się zapadł.

Żydzi utrzymywali złośliwie, że Duwydowa uwierzyła, że sama jest co najmniej napółhrabina i dla tego ma na twarzy ten pół-uśmiech, a dla reszty ludzi jest tak nieprzystępna i zwarta, jak skała. Ona jest całkiem głucha, jej „niema w domu dla tego tałałajstwa. Chłopów bez ceremonii wypychała ze sklepu, a żydów traktowała z twardą bezwzględnością wojennego naczelnika, lub z ironicznem politowaniem — w ogóle nie lubiła—to „gałgany" — powiadała zgryźliwie.

— Jaka ta Sura głupia — rozmyślała pani Duwydowa...

Sura trzymała sklep z towarami bławatnemi.

— Czego ona w sklepie tak krzyczy, jakby się jej wszystkie pierzyny spaliły. Oszalała żądzą zarobku wyleciała ze sklepu za jakąś kupującą jejmością i szarpała ją, jakby jej ta kobieta wszystkie dzieci pomordowała.

Sura miała twarz dramatyczną! Zaklinała się, przeklinała, grzmociła w piersi wyschłe jak deska, z taką rozpaczą w głosie z takiem bolesnem szyderstwem w spojrzeniu! Przed nią zaś stała zadumana i spokojna, olbrzymia „kapeluszowa" klucznica, rozwiesiwszy na swych żandarmskich barkach jaskrawy jak ornat szal turecki, żółto-czerwony, taki sam, jaki w dzieciństwie widywaliśmy na naszych babkach. Pod siódmym jej podbródkiem kwitły fontazie kanarkowych wstążek, które jak złote malarskie obrzeżenie, obejmowały wązkim paskiem oblicze wesołe i okrągłe, błyszczące jak rondel miedziany, wyszorowany na święto, nad którem na czubku głowy sterczało à la Micado kogucie amarantowe piórko. Widać było z wyrazu twarzy, że nie słyszała krzyków żydówki i szarpań jej nie czuła: jarmark sprawiał jej miły zawrót głowy... była upojona przyjemnością dnia. Już sama nie wiedziała, czego chciała, co ładniejsze, co wybrać? Stała, rozpływając się w jakiemś ogólnem, przyjemnem rozmarzeniu, machinalnie ściskając węzełek z pieniędzmi w ręce, obciągniętej cynamonową rękawiczką, która pękła jak na kiełbasie ciasna skóra. Tak to życie proste zachowuje wrażliwość! A jakież to święto dla chłopskiego bębna, któremu babka kupuje na straganie garść zmiętoszonych, opylonych wisien, kwaśnych jak ocet i zmokły piernik lub suchy jak kość obwarzanek!..

Ileż tu przeciwieństwa uczuć ludzkich!

Z bocznej uliczki wyjechała nowiutka kareta, cacko błyszczące. Lokaj i stangret w nieposzlakowanych liberyach. Stangret sam zniecierpliwiony ledwie powstrzymywał niecierpliwiące się konie, kareta widocznie zmierzała przed „paradny chodnik"... a Duwydowa wiedząc już, kto do niej zajeżdża, okulary prędko na nos spuściła i, uśmiechając się, rozprostowywała bladożółtą suknię, drepcząc przed sklepem, jak kura, która widzi podpływające zgubione kaczę. Z karety, nie puszczając się drzwiczek, wyskoczył na końcach palców młody mężczyzna, z twarzą otyłą i bardzo białą, z czołem inteligentnem, szerokiem; obejrzał się na wsze strony z komicznem przerażeniem i przez mgnienie oka walczył z sobą, widocznie chciał bardzo przebyć tę niewielką przestrzeń, dzielącą go od damy w

nym podstępom; prócz tego wyszukuje zajęcia wszelkim kandydatkom, bierze w opiekę wyroby kobiece, zaopatruje pracownice w jadło ze swojej restauracyi po cenach przystępnych, urządza odczyty i mityngi, wreszcie dla zabezpieczenia od pomyłek w życiu tudzież od wyzysku, udziela różnych wiadomości i wskazówek prawnych, dotyczących stosunku wzajemnego między zarobkodawcami a robotnicami, warunków najmu mieszkań, władania majątkiem itd.

Do zadań klubu kobiecego w Chicago między innemi należy ochrona kobiet od hańby i obrona przed wyzyskiem różnych oszustów. Wreszcie celem tej instytucyi jest udzielanie zapomóg robotnicom, pozbawionym chwilowo pracy.

Do organizacyi, mającej na celu naprawę warunków bytu pracownic amerykańskich, należą magazyny („Exchanges“), oparte na systemie kooperacyjnym. Biorą one w komis wyroby swoich członków, za co otrzymują 10% dochodu i 5 dolarów wpisowego. Magazyny te cieszą się wielkiem powodzeniem i dają niezłe zyski.

Robotnice amerykańskie tworzą jeszcze związki samodzielne, które mają na celu wzmocnienie moralnego i materyalnego stanowiska kobiet. Przyjmowane do związków robotniczych ogólnych („Trades Unions“), głoszą one hasło: jednakie warunki pracy i jednaka skala zarobków dla kobiet i mężczyzn. Przekonano się, że gdzie związki robotnicze wzbraniają wstępu kobietom, w obawie współzawodnictwa, tam płaca robocza ulega znacznej zniżce.

Wogóle Ameryka posiada mnóstwo związków kobiecych, które wypisały na swym sztandarze: „Równość płacy, równość pracy!“ (*Equal pay for equal work!*) i jakkolwiek nie załatwiają one jeszcze całkowicie kwestyi społecznej w danym zakresie, nie tworzą raju na ziemi, nie uwalniają kobiet w zupełności od wyzysku, poniewierki i hańby, ale w każdym razie przynoszą znaczną naprawę warunków zarówno moralnych, jak i materyalnych. Już samo istnienie takich silnych i rozgałęzionych organizacyj jest hamulcem na złą wolę i wyzysk przedsiębiorców tudzież wszelkich napastników, czyhających na cześć kobiecą. Ludzie nawet najbardziej zepsuci zaczynają w kobiecie szanować człowieczeństwo i nie patrzą na nie, przynajmniej jawnie, jako na towar.

Byłoby rzeczą wielce pożądaną, gdyby nowa instytucya u nas, chociaż w części mogła się rozwinąć na wzór amerykańskich.

Zen. Piet.

Z NAD WARTY I ODRY.

Sejmowi pruskiemu w tych dniach został przedstawiony memoryał Komisyi kolonizacyjnej ze sprawozdaniem z działalności tej instytucyi polakożerczej w r. 1901. Jest tam bardzo dużo ciekawych cyfr, z któremi warto się zapoznać bliżej. Jak zwykle, i ostatni memoryał jest zaopatrzony wstępem obszernym, zawierającym ogólny pogląd na stan gospodarstwa we wsiach, utworzonych przez Komisyę. Pogląd ten wyróżnia się swym pesymizmem, gdyż żaden z dotychczasowych memoryałów nie malował stanu gospodarstw kolonizacyjnych tak czarnemi barwami, jak ostatni. Zbiór ziarna w dobrach kolonizacyjnych był w roku ubiegłym nader niedostateczny wskutek zeszłorocznej zimy bez śniegu i długotrwałej suszy w lecie. Pszenica nie udała się zupełnie, gdyż nie zebrano nawet tyle, ile było konieczne na siew i na własne potrzeby gospodarstwa. W niektórych dobrach kolonizacyjnych musiano zaorać 91% obszaru, zasianego pszenicą i 28—62% pól żytnich. Kartofle, pomimo obfitości zbioru, nie dopisały pod względem wartości, zbiór paszy i buraków cukrowych był gorzej niż średni, łąki dały bardzo mało siana, zbioru koniczyny prawie wcale nie było. Memoryał pociesza się tem, że tegoroczny pomyślny stan ozimin powetuje w części straty dwóch niepomyślnych poprzednich—1900 i 1901.

Lichemi żniwami tych lat memoryał tłomaczy właśnie niesłychanie wielką podaż dóbr, jakie komisyi ofiarowano na sprzedaż. Żaden rok poprzedni nie przyniósł tyle ofert, zwłaszcza ze strony większych i mniejszych właścicieli *niemieckich*. Ofiarowano Komisyi w roku ubiegłym razem 301 dóbr większych i 228 gospodarstw włościańskich. Ogólny obszar tych posiadłości przenosi o 25,571 hektarów obszar ofiarowany Komisyi w r. 1898, kiedy podaż dosięgła była maximum. Z ofiarowanych jej dóbr w ręku polskiem znajdowało się 82 majątki większe i 102 gospodarstwa włościańskie, razem 52,056 hektarów tj. 34% ogólnego obszaru, jaki jej ofiarowano; 66% ofiarowali Niemcy 219 właścicieli dóbr większych i 126 włościan — razem 101,273 hekt. Za stosowne do nabycia komisya uznała 15 dóbr rycerskich, 16 większych samodzielnych obwodów dominialnych i tylko 8 gospodarstw włościańskich. Wszystkie te majątki (oprócz jednego, kupionego na subhaście) Komisya nabyła z wolnej ręki. Od Polaków zaledwie 18% całości zakupionego obszaru (4,700 hekt.).

Prasa niemiecka kierunku antypolskiego zwraca uwagę na ten fakt, że Komisya kupuje coraz więcej—i stosunkowo i absolutnie—ziemi, która i tak już znajdowała się w rękach niemieckich. Fakt ten niepokoi ją, gdyż, jak słusznie przypuszcza, zachodzi bardzo wielka różnica pomiędzy wyzbywaniem się ziemi przez Polaków a przez Niemców. Polak, właściciel sprzedanego majątku, o ile nie kupuje innego, bardzo często lepszego i w dodatku od Niemca (bo i to się zdarza), osiada w mieście, nabywając kamienicę lub zakładając jakieś przedsiębiorstwo. Co innego jest z Niemcem. Ten, sprzedając swą ziemię, najczęściej zupełnie wynosi się z prowincyj polskich i udaje się na zachód, osłabiając żywioł niemiecki Poznańskiego lub Prus Zachodnich.

Ostatni memoryał zawiera oprócz sprawozdania z działalności Komisyi w ostatnim roku, zestawienie wszystkich wyników jej pracy. Otóż ogólny jej plan przedstawia się w następujący sposób: zakupiła ona w ciągu całej swej działalności 164,494 hektary za sumę 113,914,324 marek, w tem z rąk polskich 53,4% tego obszaru, z rąk zaś niemieckich 46,6%. Ta przewaga ziemi polskiej nad niemiecką tłomaczy się wyłącznie tem, że w pierwszych latach swej działalności Komisya kupowała najwięcej dóbr polskich i dopiero z czasem musiała coraz bardziej zwracać się do Niemców.

Rozkolonizowano dotychczas około 100 tysięcy hektarow tj. 60,8% nabytej ziemi. Rodzin kolonistów, z wyjątkiem rodzin robotniczych jest 4695; liczba dusz wynosi 33,000. Liczba kolonistów z Poznańskiego i Prus Zachodnich wzrasta ustawicznie.

żółtej sukni, lecz w ostatniej chwili nerwy mu nie dopisały. Twarz wykrzywił wyraz komiczno-żałosny... stulił ramiona... oburącz zatkał uszy i jednym susem dał nura do karety. Towarzysz jego się roześmiał—drzwiczki zatrzasnęli, firanki szczelnie zasunęli i kareta zaturkotała, uciekając z tego „piekła chłopskiego.“

A jednak jarmark jest widowiskiem ciekawem! Porusza w masie ludzkiej jedną z najsilniejszych namiętności: żądzę grosza i dlatego jest wystawą „fizyognomij i charakterów.“ Każdy tu chciałby wziąć jak najwięcej, a dać jak najmniej. Stąd takie piekielne trajkotanie języków — dlatego to twarze zdrowych czerwienieją i potnieją, małokrwistym zapadają się i żółkną policzki, nerwowcom ziębną ręce i głowę ogarnia migrena. O grosz walczą tu z zalotnym umizgiem lub z obelgą, z groźbą, drżąco, napastniczo; jedni usiłują wzbudzić współczucie, inni—zaufanie i sympatyę, ci udają obrażoną uczciwość, tamci — błaznują.

A człowiek jest zawsze starem, dużem dzieckiem i niema sprawy tak palącej, wśród najpierwszych potrzeb życia, którejby nie opuścił dla zabawy. Pośmiać się woli, niż najeść, nawet nędzarz.

Słońce wstąpiło w południe i jarmark wrzał w całej sile, gdy wśród tłumu zaczął się rozlegać tu i owdzie okrzyk szalonej uciechy i pustoty: „Durnyj!.. Durnyj!..“ Wszyscy, opuszczając namiętne targi, ruszyli za tym okrzykiem, a obległszy paradny chodnik przed panią Duwydową, obstąpili człowieka, który pół-nagi wykonywał karkołomne skoki czwororęka.

Był to waryat, który wyrwał się z domu w koszuli tylko i ogarnięty prawdziwym szałem wesołości, tańczył swój smutny taniec bez nazwiska. Włosy jego były zlepione ociekającym kałem, głowę i biodra opasywały grochowiny. Rysów twarzy trudno było rozpoznać... policzki stały się jamami, usta co chwila zmieniały zarys w małpich, szybkich grymasach, brwi głupkowato podnosiły się nad kołowatemi oczyma, których źrenice rozsadzała bezmierna radość — szaleńca.

Boże! czegóż temu człowiekowi trzeba było przy zdrowych zmysłach, aby go uczynić tak szczęśliwym? Może otwarcia grobów — może przewrócenia porządku świata!

Tymczasem... w mózgu jego zrobiło się jakieś małe „przekrwienie“ czy „niedokrwienie,“ jakieś „otłuszczenie,“ „zwodnienie,“ „zwyrodnienie“ itd. itd. i on smutny nędzarz stał się odrazu, szczęśliwy!

Któż jeszcze może narzekać, że trudno o szczęście na tym świecie?

Teraz niczego mu już nie brakuje! Oto się przed nim rozpościera ogromna sala pałacowa, wysłana złocistym dywanem, pełna dam strojnych i kawalerów. On sam ma włosy namaszczone wonnymi olejkami... Grochowiny?.. gdzież tam!.. wieńcami róż i kwiatu pomarańczowego, jako oblubieniec opasał się na sposób rzymski. Tak wystrojony, pachnący i wesoły w tej świetnej sali, pełnej dostojnych gości, rozpoczyna menuetem uroczystość swych zaślubin z ukochaną, upragnioną kobietą — swoje wesele z Serafiną!

. . . .

Waryat tańczył a tłum się bawił.

Kilku dowcipnisiów wyszło na „arenę“ i przyjęło udział w tem przedstawieniu, podżegając werwę warjata, zachęcając go do głupstw i skoków. Malcy rzucali w niego zgniłemi jabłkami, dziewki ze śmiechu tarzały się po ziemi, bijąc w nią piętami...

Nareszcie cały ten orszak tragi-komiczny z waryatem na czele ruszył przez miasto ku aptece... Smutny oblubieniec wiódł weselnych gości do mieszkania swej oblubienicy...

Gdy Serafina, zwabiona krzykiem ulicznym, wychyliła się przez okno, widok, który ją w tej chwili uderzył, był tak okropny i nadspodziewany, że wyciągnąwszy tylko przed siebie ręce, z krzykiem upadła na podłogę, zemdlona.

Antoni, zobaczywszy ją, oprzytomniał nagle! Siadł na ziemi i zapłakał...

(C. d. n.).

Tak w r. 1900 stanowili oni 24,9% ogółu kolonistów. w r. 1901 zaś już 38%. W roku 1901—90 osad przeszło w inne ręce, prawo dzierżawy odstąpiono innym osobom w 9 wypadkach. Osadnicy Komisyi wymagają w bardzo wielu wypadkach pomocy: zakredytowania im zaległej renty i czynszu, pożyczki gotówką, zboża do siewu, paszy lub nawozu na kredyt i t. d. To ratowanie, bankrutujących kolonistów, kosztowało Komisyę w roku ubiegłym 408,170 marek i tylko dzięki takim zapomogom dotychczas zbankrutowało tylko 13 osadników, których osady sprzedano na licytacyi. Naogół biorąc, interesy Komisyi nie przedstawiają się zbyt świetnie, tem bardziej, że o kolonistów, zwłaszcza z zachodu Niemiec, coraz trudniej*) i administrowanie nierozkolonizowanych jeszcze majątków pochłania znaczne sumy. Drugie 100 milionów marek pójdzie jeszcze szybciej niż pierwsze, gdyż poważna działalność Komisyi ogromnie wpłynęła na podniesienie się cen ziemi. Dawniej za hektar płacono 700—800 marek, w ciągu zaś trzech lat ostatnich 817 marek przeciętnie.

Nic dziwnego, że wobec takich wyników pracy, niezadowolenie z działalności tej instytucyi wzmaga się ustawicznie. Prawdopodobnie przy najbliższem żądaniu powiększenia jej środków finansowych sprawa uchwalenia ich przez sejm nie pójdzie już tak gładko, jak z drugą 100-milionową ratą.

Widząc niepowodzenie jednych sposobów germanizacyjnych, władze pruskie wpadają na nowe. Najnowszym środkiem odpolszczenia wschodnich kresów Niemiec jest zaprojektowane podobno przez ministeryum wojny stopniowe usunięcie z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Górnego Śląska żołnierzy-Polaków. Zarządzenie to ma być wprowadzone w życie powoli. Na razie żołnierze polscy nie będą dopuszczani do tych miast, gdzie w najbliższej przyszłości ma być zaprowadzona załoga wojskowa.

Sprawy uniwersytetu w Poznańskiem dotąd jeszcze nie rozstrzygnięto i prasa niemiecka rozprawia nad nią w dalszym ciągu. Świeżo zabrał głos wpływowy *Posener Tageblatt*. Zdaniem tego pisma należy już raz pogodzić się z tą myślą, że z wszelkich środków podniesienia kulturalnego poziomu wschodu będą korzystali nie tylko Niemcy, ale i Polacy. Wprost niema sposobów zapobieżenia temu. Instytut hygieniczny, wyższa szkoła budownictwa maszyn, muzeum, biblioteka imienia cesarza Wilhelma, mające się dokonać zniesienie wałów fortecznych w Poznaniu przynoszą także Polakom korzyści kulturalne i ekonomiczne. Ale to nie powinno zrażać polityków niemieckich do dalszych kroków w tym kierunku, gdyż inaczej Polacy będą uzyskiwali coraz większe znaczenie. Chociaż w okolicach Poznania niema powabów przyrody, chociaż brak mu takich wielkich instytucyj, jakie posiadają Berlin, Wrocław, Drezno i inne duże miasta, ale Polakom brak tego wszystkiego sowicie wynagradza życie wśród rodaków. Inaczej ma się rzecz z Niemcami. Mieszkają oni w dwujęzycznym Poznaniu tak długo, dopóki ich tam zatrzymuje interes, powołanie, urząd, stosunki rodzinne. Rodziny niemieckie zbyt często wyprowadzają się w interesie synów do miast uniwersyteckich, czego prawie nigdy nie czynią polskie. Kto z patryotyzmu źle zrozumianego usiłuje przeszkodzić założeniu w Poznaniu uniwersytetu, do którego powinien być przyłączony instytut agronomiczny z majątkiem dla celów doświadczalnych, ten — zdaniem autora artykułu w *Posener Tageblatt* — usuwa Niemców w kąt i oddaje na pastwę Polakom Poznańskie.

Nie wiadomo, jak się ostatecznie rozstrzygną losy uniwersytetu w Poznaniu, gdyż dotychczas zdania Niemców są na tym punkcie bardzo podzielone. Jednak zdaje się, że strach wobec skupienia w Poznaniu znacznej liczby młodzieży polskiej przemaga względy korzyści, jaką niewątpliwie odniosłaby przytem i sprawa niemiecka.

W Toruniu toczył się przed kilku dniami proces, którego wynik zaniepokoił poważnie prasę, nietylko polską ale i niemiecką. Przed Izbą karną sądu ziemiańskiego oskarżono naczelnego redaktora *Gazety Toruńskiej*, Brejskiego i wydawcę p. Buszczyńskiego o podsuwanie osób bez dostatecznej kwalifikacyi na redaktorów odpowiedzialnych. W sprawie tej przeprowadzono przedwstępne śledztwo na szeroką skalę, przesłuchiwano cały personel drukarni, aby dowiedzieć się, kto daje rękopisy do druku, kto pisuje artykuły wstępne i kto jest naczelnym redaktorem. Przesłuchy uczniów i reszty personelu drukarni miały dostarczyć dowodu, że istotnym redaktorem jest tylko p. Brejski. Na świadków powołano dwóch dawniejszych redaktorów odpowiedzialnych, którzy zeznali pod przysięgą, że bez ich wiedzy i woli rękopisów do drukarni nie odsyłano, że przysługiwało im prawo kreślenia manuskryptów, z czego w pełnej mierze korzystali. Po tych zeznaniach prokurator oświadczył, że nie uważa wszystkich byłych redaktorów odpowiedzialnych za podsuniętych i nieposiadających odpowiednich kwalifikacyj, podtrzymuje zaś oskarżenie tylko co do Domańskiego i Wojciechowskiego. Ten drugi, znajdujący się już w śledztwie z powodu całego szeregu przewinień prasowych, odmówił wszelkich zeznań, zaś p. Domański zeznał, że ukończył gimnazyum chełmińskie ze świadectwem dojrzałości, że następnie złożył egzaminy na nauczyciela ludowego i był czynnym członkiem redakcyi, pisując różne artykuły. Pomimo to prokurator pozostał przy swojem, jakkolwiek i obrońca i oskarżeni złożyli dość przekonywające dowody, że osoby, figurujące w charakterze redaktorów odpowiedzialnych, posiadają odpowiednie kwalifikacye. Sąd jednak przychylił się do zdania prokuratora i skazał obu podsądnych na więzienie. Oskarżeni oczywiście założyli rekurs, którego wyniku z niepokojem oczekuje cała prasa opozycyjna. Gdyby bowiem powszechnie praktykowane posługiwanie się t. zw. „Sitzredaktorami" zostało uniemożliwione, byt bardzo wielu pism, zwłaszcza robotniczych, byłby poważnie zagrożonym. Pisma ludowe, z wielką trudnością znajdujące właściwych kierowników, nie rozporządzają odpowiednią liczbą ludzi uzdolnionych, którzyby odsiadywali kary, sypiące się na prasę opozycyjną. Wskutek tego niektóre z nich byłyby po pewnym czasie zupełnie ogołocone z właściwych redaktorów.

I bez tego jednak byt pism polskich, przeznaczonych dla szerokich mas ludowych, nie przedstawia się zanadto różowo. Oto np. taki *Górnoślązak* - katowicka filia *Pracy* poznańskiej, traci jednego redaktora po drugim, pomimo tak krótkiego swego istnienia. W chwili ukazania się pierwszego numeru *Górnoślązaka*, *siedmiu* redaktorów *Pracy*, w tej liczbie główny jej filar, p. Rakowski, oraz wydawca p. Biedermann znajdowali się w więzieniu za wszelkiego rodzaju przekroczenia prasowe. Prokuratorya pruska wytoczyła naczelnemu redaktorowi *Górnoślązaka*, p. Korfantemu, proces o artykuły w jednym z pierwszych numerów pisma. Drugiego redaktora zmuszono do opuszczenia terytoryum pruskiego, trzeciego w tych dniach wpakowano do więzienia. Pomimo to wszystko, a może właśnie dlatego, *Górnoślązak* odrazu zyskał poparcie mas śląskich. Liczy on dziś już 4,500 prenumeratorów, o 1,500 więcej od *Dziennika Śląskiego*, organu katolickiego, istniejącego już od kilku lat. Nawet wrogie wystąpienie całej prasy katolickiej nietylko nie zaszkodziło *Górnoślązakowi*, ale zrobiło mu reklamę.

Natomiast w innej prowincyi polskiej dopiero teraz budzącej się do świadomości narodowej, z Mazowsza pruskiego, dochodzi smutna wiadomość o upadku jedynego tam organu polskiego — *Gazety Ludowej*. Małe to pisemko, drukowane dla Mazurów ewangielickich czcionkami gotyckiemi, nie zdołało zdobyć sobie tego poparcia, na jakie liczyło. Półmilionowa ludność mazurska, dopiero teraz poczynająca się budzić do polskości, nie mogła jeszcze sama utrzymać swego pisma, które też nie miało więcej nad 500 prenumeratorów. A nieprzyjaciół jej nie brakowało. Żandarmi, wójci i wszelkiego rodzaju urzędnicy teroryzowali odbiorców gazetki, redaktorowie wciąż odsiadywali kozy więzienne, a w dodatku władze paraliżowały wpływy *Gazety Ludowej*, wydając *Pruskiego Przyjaciela Ludu* w duchu antypolskim, choć po polsku. W „pożegnaniu" swem ostatnia redakcya *Gazety Ludowej* oświadcza, że zamyka pismo czasowo, odwołując się przytem do pomocy rodaków ze wszystkich prowincyj. Życzyć by należało, aby wznowione pismo było prowadzone w nieco odmiennym duchu, niż dotychczas, ponieważ obecnie jeśli przynosiło jaki pożytek, to jedynie tylko z tego powodu, że wychodziło po polsku.

Pośrednik.

Listy z Francyi.

Paryż, 7 marca.

Z szumnych, obszernych opisów w dziennikach francuskich uroczystości setnej rocznicy urodzin największego poety francuskiego, a jeszcze więcej z telegramów i bezkrytycznych korespondencyj do pism warszawskich możnaby sądzić, że obchód nosił istotnie jakiś niezwykły charakter, że przyjmował w nim udział cały lud paryski, że był on rzeczywiście apoteozą geniuszu Wiktora Hugo i uwieńczeniem go przez cierpiących, którym tyle rzewnych poezyj poświęcił.

Tymczasem choć uroczystości te ciągnęły się prawie tydzień i pochłonęły setki tysięcy franków, nie przekroczyły jednak granic jakichś urzędowych, z góry nakreślonych, banalnych obchodów; nie mogą iść w parze z imponującym całemu światu pogrzebem W. Hugo, a tem bardziej z wiekopomną uroczystością odsłonięcia pomnika „Tryumf Rzeczypospolitej" w 1899 r. na placu Narodowym, gdzie kilkaset tysięcy pracowników dobrowolnie przeciągnęło, niosąc swe sztandary i godła korporacyjne, śpiewając hymny ludowe.

Nie budziły zapału, miały w sobie coś lodowatego: i obchód w Panteonie, gdzie, wśród przeróżnych dygnitarzy udekorowanych i ustrojonych w togi, pióropusze i lśniące mundury przemawiali zimno ultraumiarkowani republikanie, ministrowie obecny i dawny, Leygues i Hanotaux, przechylający się nieraz ku klerykalizmowi i reakcyi — i odsłonięcie pomnika Hugona dłuta Barrias'a, nieudatnego pomimo wielkiej ceny i zgolenia brody poecie — i galowe przedstawienie w Komedyi francuskiej, jak również i obchód w Sorbonie, urządzony staraniem stowarzyszenia młodzieży uniwersyteckiej. A już za świętokradztwo uważać należy uroczystość i bal urządzony w ratuszu staraniem nacyonalistycznej rady miejskiej Paryża, za której sprawą rozrzucono w ogromnej ilości świstki, zawierające urywki z mów i dzieł Wiktora Hugo z czasów młodości, kiedy był jeszcze monarchistą i konserwatystą, lub oderwa-

*) Kiedy w r. 1900 osadzono 661 kolonistów, to w r. 901 tylko 418.

ne frazesy, przeistaczające jego myśl przewodnią — z czasów późniejszych.

Reakcyjna w znacznej większości rada miejska oddawna już szukała sposobności zamanifestowania przed ludem, że i ona czci jego bogów, jego bohaterów, dążąc jednocześnie do spaczenia prawdy i obniżenia haseł postępu. Przed kilku miesiącami zrobiła niemal zamach przy odsłonięciu pomnika Baudina, który zginął przed 50-u laty na barykadach przedmieścia Św. Antoniego; musiano nawet obchód odłożyć, by nie splamić pamięci bohatera ludowego.

Tym razem rada miejska z prezydentem Dausset'em na czele wzięła się zręczniej do dzieła; a trzeba było użyć wszelkich forteli, trzeba było przywdziać nową maskę, bo wybory do Izby za pasem, a któżby teraz nie rwał się do zamienienia szarfy radcy na szarfę deputowanego.

Zawotowała więc 300,000 fr. na uroczystości jubileuszowe, wszędzie starając się brać w nich udział czynny, a jej prezydent przemawiał i apoteozował W. Hugo, jakby to był rodziciel Boulangera lub Déroulede'a; podejmowała z wielką wystawnością nader nieliczne delegacye zagraniczne i krajowe; oświetliła rzęsiście plac przed ratuszem i postawiła orkiestry, namawiając gawiedź miejską do ulicznego balu, a sama ze swymi przyjaciołmi bawiła się, tańczyła i spijała szampana za pieniądze naiwnych wyborców.

Zdawało się, że przynajmniej ostatni dzień uroczystości, przypadający w niedzielę i zawierający w programie defiladę dziatwy szkolnej przed biustem poety, oraz wystąpienie wybranej z pośród robotnic Muzy, mającej uwieńczyć głowę wieszcza— że ten dzień stanie się świętem ludowem, ściągnie masy robotnicze i przyczyni się do uczczenia pamięci autora „Nędzników."

Rozczarowanie jednak było niemal zupełne, zwłaszcza dla tych, którzy nie zadawalają się pochwałami urzędowemi i nie szukają w uroczystości lampionów, ogni bengalskich, ogłuszających orkiestr wojskowych i wszelkiego rodzaju zastosowań elektrotechniki.

Już ceremonia wyboru Muzy nadawała się do ostrej krytyk, jako upokarzająca godność człowieka.

Do olbrzymiej sali Hippo-Palace zeszło się około 2,000 robotnic paryskich, przeważnie szwaczek, kwiaciarek i zecerek, a z pomiędzy nich do konkursu stanęło 44, na które głosować miały pozostałe towarzyszki. Na podobieństwo jałówek oprowadzanych na wystawie przed sędziami, kandydatki z ogromnymi numerami na piersiach defilowały przy dźwiękach muzyki dokoła areny pod krytycznie wpatrzonemi spojrzeniami nietylko towarzyszek-wyborczyń, lecz i całej masy zblazowanej publiczności, zajmującej słono opłacone krzesła i loże. Po kilkakrotnem obejściu areny mistrz ceremonii zawołał:

„A teraz wybierajcie Muzę wśród kandydatek, które widzieliście i które moglibyście nawet auskultować (!)."

I zaczęło się głosowanie wśród tańców i muzyki.

Szczęściem nie było w sali uświadomionych robotników, którzy niewątpliwie pokazaliby organizatorom, że umieją bronić godności ludzkiej.

Przyzwoiciej, doprawdy odbywają się wybory na królowę przekupek rynków paryskich, choć idzie wówczas nie o cel poważny, lecz jedynie o uświetnienie środopostnej zabawy na bulwarach.

Nie dziw więc, że w taki sposób obecna muza nie cieszyła się wielką sympatyą towarzyszek, ani też nie budziła powszechnego zainteresowania.

Zamiast święta ludowego i tłumu robotników na placu Wogezów, widzieliśmy jedno więcej urzędowe przedstawienie, nieudolnie zorganizowane przez paryską radę miejską. Tłum, ścisk, pomimo znacznej ilości gwardyi republikańskiej, policyi i wojska. Najciekawsze numery programu, jak defilada dziatwy szkolnej i Muzy przed biustem W. Hugo — przeszły niemal niepostrzeżenie i nie sprawiły wrażenia, a zjawienie się w końcu przy zaćmieniu wszystkich świateł widma Muzy ponad domem poety przypominało niknące obrazy latarni magicznej.

Z pośród licznych uroczystości zasługują jednak na uwagę: bankiet wydany przez ligi pokojowe, których prezesem i gorącym stronnikiem był zawsze W. Hugo, oraz uroczysty poranek w wielkiej sali Trocadero, urządzony staraniem uniwersytetów ludowych. Tam, wobec 5,000 osób przemawiali: prof. uniw. Séailles, wielki krzewiciel uniwersytetow ludowych i poeta Anatol France, który w swem gorącem słowie podniósł najszlachtniejsze myśli W. Hugo, rozwinął je na swój sposób i zarysował kontury szczęśliwej przyszłości.

Najdemokratyczniejszym i najcharakterystyczniejszym objawem było zebranie w Giełdzie Pracy, urządzone ku czci wieszcza przez władze stowarzyszenia „Sztuka dla wszystkich." Tu sekretarz związku Giełdy Pracy, oddając hołd Wiktorowi Hugo, jako największemu lirykowi francuskiemu, kochającemu i broniącemu uciemiężonych, wniósł protest w imieniu robotników przeciw, uroczystościom urządzanym przez ludzi, którzy sławią autora „Claude Gueux," „Nędzników" i „Ostatnich dni skazańca," a nie starają się urzeczywistnić żadnej z reform przez niego głoszonych, choćby tylko zniesienia kary śmierci...

Dr. J. Zieliński.

Uniwersytety ludowe na rozdrożu.

Gdy przed kilku laty powstały w Niemczech pierwsze uniwersytety ludowe, bramini nauki, przejęci szacunkiem dla wszystkiego co jest, a zatem według przysłowia „pisze się w rejestr," zacierali z zadowolenia ręce. Wzięto się raźnie do roboty w nadziei, iż maluczko, a duch światła zacznie brać górę nad demonami niezadowolenia. W programie kursów misya poprawcza względem „moralnie zaniedbanego" ludu była wyraźnie zaznaczoną: lud powinien nauczyć się „korzystać z powszechnego prawa wyborczego." Miast iść za fałszywymi prorokami, wiodącymi na pokuszenie, naród pójdzie za głosem trzeźwego realizmu, będzie brał rzeczy takiemi jak są i przestanie gonić za zwodniczymi mirażami.

W tym celu naprzód zamieszczono w programie sporo wykładów historycznych. Tylko ten, kto rozumie, iż korzenie każdej instytucyi współczesnej tkwią w zamierzchłej przeszłości, że historya podobnie jak przyroda nie robi gwałtownych skoków, że wszystko powstaje stopniowo i ma historyczną racyę bytu, tylko ten potrafi szanować teraźniejszość, kiełznając swe zapędy krytyczne i burzycielskie. Dalej samo urządzenie kursów powinno było słuchaczów wyzwolić z jarzma dotychczasowych błędnych poglądów. Nie tolerowano żadnej dyskusyi i polemiki z nauczycielem, aby tem gruntowniej pogrążyć słuchacza w atmosferze nowych nieznanych i dlatego właśnie pogardzanych idei. Po metodzie tej spodziewamy się świetnych wyników i prawdopodobnie Eskulapowie społeczni wyleczyliby radykalnie pacyenta z brzydkiej chronicznej hipochondryi politycznej, gdyby nie to, iż pacyent odmawiał przyjęcia wszelkich lekarstw. Na wykłady przybywali nauczyciele szkół, subjekci handlowi, panie rozmaitego rodzaju, ale krnąbrny lud świecił swą nieobecnością. Zaczęto radzić jak zapobiedz złemu, wszczęła się zasadnicza polemika i wreszcie, inicyatorowie doszli do smutnego wniosku, że cała metoda filantropii pedagogicznej posiada wady organiczne, aż nadto zrozumiale tłomaczące niepowodzenie nowej instytucyi. Kursy ludowe, skoro w istocie zamierzają stać się czynnikiem kultury społecznej, powinny wrócić do myśli i zasad ojca „ruchu uniwersyteckiego," Arnolda Toynbee'a.

Przedewszystkiem więc czcigodny kapłan nauki nie po to powinien znijść ze swych olimpijskich wysokości, aby rozrzucać na wsze strony ziarna wiedzy, lecz po to, aby samemu nabrać nowych wiadomości o życiu tych warstw narodu, z któremi nie ma sposobności się stykać. Dopiero wtedy, gdy rozszerzy swój widnokrąg zacieśniony ścianami pracowni naukowej, gdy pozna tych, do których ma przemawiać, gdy odczuje ich potrzeby i pragnienia, dopiero wtedy ma on prawo podjąć się swej misyi pedagogicznej.

Cała metoda tradycyjnej „oświaty ludowej," zdaniem wielkiego reformatora Toynbee'a, jest śmieszną i bezowocną, gdyż narzuca gwałtem to, czego bynajmniej lud nie pożąda. Najbardziej uczone wywody i subtelne teorye nie budzą go ze śpiączki umysłowej, ani pociągają, jeśli nie zaspakajają tych pytań, które dręczą jego umysł. Przy otwarciu przed dwoma laty w Oksfordzie „Ruskin Hall" (pisaliśmy o niej niedawno w *Prawdzie*) znany angielski dowódca społeczny, Ben Tillet, wyraził myśl o niezbędności podkładu życiowego dla oświaty ludowej w sposób następujący: „Spodziewam się — mówił — iż nowy uniwersytet będzie wolnym od pyłu oschłej wiedzy ekonomicznej. Potrzebną nam jest literatura, którаby pomogła zrozumieć serce ludzkie, ducha historyi i życia ludu oraz charakter urządzeń społecznych. Tylko w taki sposób otrzymamy środki emancypacyjne."

Niedawno np. dwaj sławni estetycy i historycy sztuki, Ryszard Muther i Wölffein, wygłosili w stowarzyszeniach młodzieży odczyty o demokratyzacyi sztuki, wskazując, jak należy rozbudzać dar spostrzegawczy prostaka, aby go wtajemniczyć stopniowo w istotę piękna, ale żaden z obydwu uczonych nie napomknął nawet, iż naprzód potrzeba znać nawskroś słuchacza i ucznia aby w istocie przekształcić duszę jego. A tymczasem tylko współżycie i wzajemne obcowanie mogą wyrównać przepaść psychologiczną pomiędzy warstwami, obcemi sobie pod względem społecznym. „Jeśli rzeczywiście dbacie o dobro biedaków — woła Barnett w Toynbee Hall—jeśli bierzecie udział w jego zapasach, to dlaczegóż nie przybywacie aby razem z nim żyć—nie jako pyszni, którzy raczą się doń zniżyć, ani czyści, chcący dopomódz upadłemu, ani światli, którzy mają nauczać, lub też przedstawiciele subtelniejszej kultury, którzy zamierzają rozpowszechnić smak artystyczny, lecz jako sąsiedzi, przyjaciele i współobywatele." W tym również sensie wyraził się niedawno lord Peel, występując w Oxford-House. Cel kolonij, urządzanych w dzielnicach ubogich, powinien w równej mierze polegać na uczeniu się jak nauczaniu. Wszelkie pozowanie na opiekunów jest nagannem, i nic tak dalece nie obraża mieszkańców Wschodniego Londynu, jak pojawianie się przybyszów, chcących oświecić ludzi, jakie powinni mieć obowiązki.

W tym samym duchu przemawiał także profesor Sorbonny paryzkiej, G. Séailles, podczas uroczystości otwarcia pierwszego uniwersytetu ludowego w Paryżu. Pracownik ducha — wywodził — ma wprawdzie wiele do powiedzenia pospolitemu wyrobnikowi, ale może sam również wiele odeń się dowiedzieć. We wszystkich przytoczonych mowach rozbrzmiewa ten sam zasadniczy ton: *medice cura te ipsum!* Szerzyciel

oświaty powinien przedewszystkiem oświecić samego siebie, jeżeli sobie życzy, aby jego słowa padły na glebę żyzną. Prelegent znający, dzięki dłuższym stosunkom osobistym, swe audytoryum, jego słabostki i zalety z góry wie, jakich rzeczy nie powinien dotykać, a zarazem o co powinien zahaczyć, aby oddziałać na umysły obecnych. Nawet wtedy, gdy będzie miał do czynienia z materyą trudną, potrafi tak ułożyć swój przedmiot, wybrać przykłady, podkreślać to i owo, iż przykuje uwagę zebrania. Rozprawy, których się wystrzegano tak w Niemczech, umożliwiają właśnie zadzierzgnięcie węzłów sympatyi, zajrzenie do duszy słuchacza lub przekonanie się o układzie jego myślenia i stopniu inteligencyi. Amerykanka Jane Adams, jedna z prelegentek uniwersytetu ludowego, spowiadając się ze swych doświadczeń, dochodzi do tych samych wniosków. Jej zdaniem, każdy docent powinien obowiązkowo przed rozpoczęciem wykładów spędzać pewien czas w „settlemencie" (osada społeczna), gdzie pozna potrzeby umysłowe swych przyszłych wychowańców, aby później w swych wykładach obracać się w atmosferze swojskiej dla słuchaczy. W przeciwnym razie ci nie przyswajają sobie ani przetrawiają wiedzy im zaszczepionej. Pani Adams wytyka też całą bezmyślność programów kursowych, układanych na chybił trafił przez ludzi dobrych chęci, lecz bądź co bądź naiwnych dyletantów, dla których dusza ludu jest księgą o siedmiu pieczęciach. W sposób wzorowy ułożono np. spis wykładów dla francuskiej University Extension, noszącej nazwę „Coopération des idées pour l'éducation éthique—sociale du peuple." Jadłospis naukowy składa się z takich dań jak: 1) Prawo na pracę; 2) Prawo dziecka na monogamię; 3) Kwestya kobieca; 4) Kwestya żydowska w Algierze; 5) Patryotyzm i międzynarodowość: 6) Polityka kolonialna; 7) Teorya wolnej miłości; 8) Intelektualiści a wyrobnicy itd. Profesorowie niemieccy przeciwnie, obciążyli swe programy balastem pedantyczno-naukowym, zamiast poruszać z katedry takie kwestye, jak imperyalizm i militaryzm, demokracya i prąd społeczny, kwestya płciowa, stosunek darwinizmu do etyki społecznej, nietzscheanizm, marxizm, teorya przeciwieństw klasowych, zagadnienie rasowe, dzieje kościoła itd. — a tylko tego rodzaju tematy zaprzątają i mogą przykuć umysły ludu.

To też wobec bankructwa dotychczasowego systemu oświaty ludowej zdecydowano się nareszcie na dwie reformy. Popierwsze działalność nauczycieli ma objąć młodzież, albowiem młodzieniec nie zraża do siebie pospolitego prostaka swą powagą olimpijską, a następnie wisi on na podobieństwo bogów Epikura pomiędzy niebem ideałów a ziemią karyerowiczostwa i realizmu. Próby zrobione w tym duchu w Charlottenburgu powiodły się świetnie. Powtóre we wszystkich wielkich miastach przemysłowych mają powstać „domy ludowe."

Postarajmy się w ogólnych zarysach scharakteryzować te instytucye obecnie szerzące się po całym lądzie europejskim (Amsterdam, Brukselła, Hamburg, Wiedeń, Medyolan). Przed dwudziestu kilku laty ukazały się jednocześnie dwa dziełka, które wywołały popłoch w Londynie. Obie rzeczy, jedna zatytułowana *The bitter cry of outcast London* (Gorzki okrzyk wydziedziczonego Londynu), a druga *All sorts and conditions of men* (Wszelakie rodzaje i stanowiska ludzi), odkrywały przed ogółem nowy, nieznany dotychczas świat. Opisywano ludzi zamieszkujących jaskinie (sławetne *slums* londyńskie), odzianych w łachmany, żywiących się odpadkami, mrących z głodu, zezwierzęconych i zrozpaczonych. Cały *high life* zaczął wędrować do siedziby tych patagończyków i buszmenów. Po kilku tygodniach oczywiście gorączka sensacyjna ostygła i *slums* poszły w zapomnienie.

Tylko w sercach młodzieży i inteligencyi, hołdującej ideałom wszechmiłości, drgnęły oburzenie i rozpacz. Do tej właśnie garski humanitarnej wystosował wspomniany wyżej Barnett odezwę, w której nawoływał do złożenia na ołtarzu „swej wiedzy, swego czasu i samych siebie." Wtedy to powstało pierwsze wielkie „Settlement," a dziś sam Londyn posiada ni mniej ni więcej tylko 40 takich instytucyj. Różnią się one tem od pokrewnych urządzeń, iż stanowią wąziutki most, na którym stykają się dwa obojętne sobie i obce światy. W pierwszym rzędzie służą „domy ludowe" za ogniska wiedzy popularyzowanej. Werbują one dzieci do zabaw wieczornych i wycieczek, zapraszają kobiety na swe wykłady hygieny, gospodarstwa domowego i pedagogii, a mężczyznom ofiarują kursy uniwersyteckie.

Nie poprzestając jednak na działalności wychowawczej „Settlement" niesie pomoc biedakowi na wszelkich polach życia i potrzeb. Tym, co mają stosunki z sądem, udziela się wskazówek prawnych, poszukującym pracy członkom „Domu ludowego" wynajduje zajęcie, dla dziewcząt pozbawionych rodziny, urządza się kluby i stałe przytułki, przy których są otwarte dniem i nocą żłobki. Inne „Osady" znowu otworzyły szkoły dla kalek, którzy nie mogą uczęszczać do zakładów urzędowych, trudnią się zakładaniem ogrodów i skwerów robotniczych, lub utrzymują bezpłatne kąpiele i baseny. Przy „Women's University Settlement" istnieje szkoła dla kobiet - kalek, pobierających tam naukę wyrobu ortopedycznego obuwia, tak iż po ukończeniu kursu trzyletniego zarabiają 30—35 szylingów.

„Domy ludowe" mają wogóle na widoku cele idealne. Chcą one monotonii życiowej biedaka nadać kilka punktów świetlanych, chcą przytulić go do siebie, gdy ucieka przed swą mansardą, szynkiem lub zimną ulicą. Jeśli szuka orzeźwienia dla swej biednej duszy, częstują go muzyką, ofiarują mu książki, a widok pięknych obrazów, rozwieszonych na ścianach, raduje jego wzrok i unosi go w niebiańskie sfery piękna. Rozszerza tu on swój widnokrąg umysłowy, uczy się innego obejścia, a co ważniejsza, poznaje nowe potrzeby ludzkie. Walka o byt nabiera w jego oczach aureoli idealnego dążenia do celów materyalnych, duchowych i społecznych. W jucznem bydlęciu budzi się człowiek, a w człowieku dziecko Prometeusza.

For.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Wystawa krajowa.

Gazeta Polska wskrzesza swój projekt urządzenia w Warszawie powszechnej wystawy krajowej. Nawet narody najdalej posunięte w wytwórczości nie mogą doraźnie organizować wystaw, lecz muszą się do nich przez jakiś czas przygotowywać. Otóż nie wiemy, czy myśl *Gazety*, rzucona przed dwoma laty, utkwiła w głowach powołanych do takiego przedsięwzięcia i czy wywołała odpowiednie zabiegi. Od tego zależałby rezultat. O ile zaś ten rezultat, gdyby wypadł dodatnio, przyniósłby nam wielkie korzyści, o tyle ujemny naraziłby nas na poważne straty. Wiadomo bowiem, że nasz spożywca nie ma wielkiego zaufania do wyrobów krajowych nawet w tych wypadkach, w których jego nieufność jest śmieszną i niedorzeczną. Nie wykształciliśmy w sobie tej dumy z owoców naszej pracy, którą np. w wysokim stopniu posiadają Anglicy, a która nawet ludom o mniejszej kulturze każe cenić przedewszystkiem istotnie wartościowe produkty swojskie. Cudzoziemczyzna ciągle nas jeszcze hypnotyzuje i odurza. Ażeby więc zmódz ten przesąd i zapanować nad swoim rynkiem wewnętrznym, trzeba mu istotnie zaimponować, a to zwycięstwo uważamy za ważniejsze, niż spekulacyę na zbyt zagraniczny, który zawsze wobec nierównego współzawodnictwa pozostanie skromnym.

W zasadzie tedy pomysł *Gazety Polskiej* jest bardzo dobry i bardzo doniosły, ale jego wykonanie zależy od naszych przygotowań i starań. Pojawia on się nadto w porę. Rzeczywiście szeroki i bardzo natężony ruch przeciwko wyrobom niemieckim obudził w społeczeństwie szczerą chęć korzystania z produkcyi krajowej i wydobył na wierzch liczne jej wytwory. Według zapewnienia znawców, odpływ towarów miejscowych jest obecnie niebywały. Urządzić w takiej chwili wystawę krajową, byłoby rzeczywiście doskonałem i płodnem w następstwa wyzyskaniem przyjaznego nastroju. Ale — powtarzamy — trzeba to zrobić umiejętnie.

Kłopoty gramatyczne.

Nasi styliści do codziennego użytku pasują się oddawna z wieloma wątpliwościami gramatycznemi, ale chyba najwięcej udręczeń doznają od dwóch, pozornie bardzo prostych wyrazów: *wszak* i *który*. Co oni wyrabiają z nieszczęśliwem „wszak" — od tego widoku można się wyleczyć z najczarniejszej melancholi. „Rzezimieszek skradł futro wszak przed paru dniami," „Wtedy wyjął nóż wszak z kieszeni," „Chodakowski zasłużył sobie wszak na naszą wdzięczność" i tym podobnie. Innemu losowi ulega drugi z nieszczęśliwych wyrazów. Bo o ile to „wszak" musi skakać w zdaniach za daleko, o tyle znowu „który" musi nieraz stać za blizko. „Traktat, na którego mocy," „Przyrząd, za którego pośrednictwem," „Urodzaj, w którego skutek ceny spadły" itp. Znakomitemu gramatykowi polskiemu, A. Małeckiemu, w hołdzie jubileuszowym złożono również zapewnienie, że nasza mowa pisana zawdzięcza mu swoją poprawność. Jeżeli on jednak czytuje niektóre dzienniki nasze, to chyba nie czerpie z nich dowodów tej swojej zasługi, a co najmniej sądzi, że obie jego *Gramatyki* wobec „wszak" i „który" okazały się bezsilne. Trudno wymagać od sędziwego badacza, ażeby je uzupełnił szczegółowszym wykładem o tych dwóch wyrazach, ale gdyby który z miejscowych nauczycieli języka polskiego dał kilka lekcyj prywatnych naszym skłopotanym stylistom lub zamieścił dla nich w *Przeglądzie Pedagogicznym* osobny artykuł o „wszak" i „który"— postąpiłby bardzo zacnie.

Czapkowanie.

Nie! są przywary „czerepów rubasznych," których dusza nasza, choćby stokrotnie liniała, pozbyć się nie może, choćby „czerwone kontusze" ustąpiły miejsca demokratycznym sukmanom — idealnym; są bowiem zapachy, których żadne szorowanie społeczne i odkadzania teoretyczne nie wypędzą. Przekonaliśmy się o tem niedawno, kiedy pisma codzienne przyniosły nam wiadomość, iż ktoś z arystokracyi, który tem tylko zaznaczył się w dziejach narodu, iż trwonił dużo swojskich pieniędzy na obcej glebie — mniejsza o to gdzie, w Indyach, Honolulu czy Wiedniu — został na polowaniu przez własną nieuwagę postrzelony. Fakt, nadający się do rubryki „wypadków." Aliści od tej chwili nasze dzienniki podają nam codziennie formalne biuletyny o stanie zdrowia J. O. Pacyenta: dowie-

dzieliśmy się już dokładnie, w którem miejscu szanownego ciała utkwiła fatalna kula, jakiego była kalibru, ile kawałków zgruchotanej kości wydobyto z rany, dowiedzieliśmy się, że humor dopisuje choremu, jak na takiego zawołanego sportsmana przystało itd.

Nic nowego pod słońcem! Już w r. 1598 w broszurze Łukasza Górnickiego p. t. „Raczył,“ „rozumna mowa“ skarży się na owego Raczyła, co tak zachwaścił piękną mowę ojczystą, iż bez niego nikt już obejść się nie może... Słyszałem też taką mowę: Tak dwie lecie zakochać się Jego M. w myśliwstwie raczył. A tu zaś nie mogło być bez ciebie, Raczyło? Ba i tu: Jego M. — prawi — biesiadą, graniem, tańcem bawić się raczy. Czysty pan.“ Ale cóż z tego, kiedy Raczył zawsze wygra sprawę przeciw „rozumnej mowie“ przed trybunałem, nad którego drzwiami, jak nad bramą piekła Danta, napisano: „Zostawcie...“ nie! „u dworu pańskiego trzymaj się choć klamki!“ *h.*

Totalizator i wyścigi.

Jeden z wybitniejszych dziennikarzy naszych pod przyłbicą Pennylesa w osobnej broszurze wypowiedział wojnę totalizatorowi. Autor, wszechstronnie rozpatrując szkodliwość tego hazardu, wychodzi ze stanowiska, z jakiego dotąd wcale nie roztrząsano tej sprawy. Totalizator przynosi szkodę nietylko społeczeństwu, jako hazard, ale i towarzystwom wyścigów. „Przekształciły się one w przedsiebiorstwa finansowe, tem tylko różne od innych, że więcej skomplikowane w działaniu. Starają się o jak największe obroty pieniężne i w tym celu coraz więcej rozszerzają zakres wyścigów. Coraz więcej jest tedy dni wyścigowych w roku, a w każdym z nich coraz więcej gonitw. Oczywiście materyału, który właściwie nadaje się do wyścigów, nie wystarcza na to, zastępuje go wszelka zbieranina, która bynajmniej się nie przyczynia do uszlachetniania hodowli. „Tym sposobem stało się, iż kupne braki, po największej części liche, znacznie przerastają liczbą produkcyę hodowlaną, którą właściciele prezentują jako rezultat swoich gospodarskich starań.“ Jest jeszcze jeden szkopuł, bodaj ważniejszy, dotyczący owej produkcyi hodowlanej: W zasadniczem założeniu wyścigi mają być *próbą* konia; dziś atoli za sprawą podniecen finansowych stały się tylko *eksploatacyą* konia. „Bezstronni znawcy sami to przyznają, że zawczesne i zaczęste wyzyskiwanie sił koni prowadzi za sobą zmarnowanie przychówku, który przy racyonalnem postępowaniu stanowić by mógł cenny dobytek w hodowli.“ Autor przychodzi do całkiem uzasadnionego wniosku, że totalizator w gruncie rzeczy jest czynnikiem szkodliwym dla wyścigów, jako dla instytucyi sportowej i hodowlanej, ponieważ „spaczył jéj zasadnicze cele i sprowadził ją na karkołomne manowce.“ Jakież są środki zaradcze? „Towarzystwa wyścigów z teraźniejszymi budżetami w istocie nie dałyby sobie rady bez tego głównego źródła dochodu, jakie stanowi totalizator.“ Gdyby więc chodziło o jakiś kompromis, to należałoby dążyć do radykalnej zmiany programu samych wyścigów. Następnie autor radzi stworzyć towarzystwo przeciw totalizatorowe. Wszystko to są półśrodki. Złe da się całkowicie usunąć tylko wtedy, gdy będą *zniesione wyścigi*. Przemawiają za tym krokiem stanowczym motywy bardzo poważne: wyścigi przynoszą szkodę moralną i materyalną społeczeństwu, gdyż są czynnikiem i gruntem największego hazardu. Nietylko nie przynoszą korzyści hodowli, lecz przeciwnie — wyrządzają jej szkodę niepowetowaną.

Znowu konfiskata.

Jeszcze nie przebrzmiały echa słynnego procesu o „Legendy“ A. Niemojewskiego, a już poczta przyniosła wiadomość o nowym tego rodzaju wybuchu nietolerancyi: prokuratorya lwowska zarządziła konfiskatę powieści A. Gruszeckiego p. t. „Większością,“ zamieszczonej w „Bibliotece dzieł wyborowych.“ I wyszły na jaw dwie słabe strony sfer rządzących w Galicyi: „Legendy“ podrażniły jedną z nich, powieść p. Gruszeckiego trafiła w Achillesową piętę kastowości szlacheckiej i biurokratyzmu. Autor w jaskrawych barwach przedstawił niecne szalbierstwa, jakich dopuszczają się „obszarnicy“ na współkę z władzami autonomicznemi w celu przeparcia swoich kandydatów do sejmu, a odsunięcia — ludowych. Ależ panowie z prokuratoryi, którzy tak gorliwie bronią interesów i honoru szlachty, rozwiązują sprawę wcale po chłopsku: obuchem w łeb! I wszelka polemika ustaje. Nie widzą, niestety, krótkowidze, że w ten sposób zdradzają się ze swoją słabością i dowodzą, iż prawda jest—po tamtej stronie, bo, jak mówi poeta: „Słaby tylko rzeź wybiera.“ *h.*

BADANIA NAUKOWE.

Historya Polski

NA PODSTAWIE EKONOMICZNEJ.

IV.

W drugiej połowie XVII w. istniały już zatem wszystkie warunki upadku rzeczypospolitej szlacheckiej: potężniejące pod działaniem własnych społeczno-ekonomicznych (dla każdego — zupełnie odmiennych) czynników państwa ościenne, a w kraju — bezrząd, brak spójności, ciemnota i nietolerancya, podtrzymywane przez jezuitów, wyzysk chłopa. Specyalnie wzmagały się te wewnętrzne czynniki rozkładu pod wpływem przewrotu ekonomicznego, spowodowanego przez utratę Ukrainy skutkiem powstań kozackich. Zrujnowana bowiem szlachta kresowa napływała do kraju i nie pozostawało jej nic innego, jak pójść w służbę magnatów *). Długie i ciężkie wojny wyniszczyły zresztą i pomniejszą szlachtę ziem polskich i litewskich. Fortuny zaś magnackie urosły już były nadmiernie: na Rusi — dzięki wojennej kolonizacyi „królewiąt,“ na Litwie — jako owoc dawnych księstw feodalnych. Część magnatów, widząc chylenie się państwa do upadku, zaczęła nawet od końca XVII w. dążyć do lekkiego wzmocnienia władzy królewskiej, która i tak pozostałaby zależną od możnowładców-senatorów. Lecz szlachta zazdrośnie strzeże swej „złotej wolności,“ swych nieograniczonych praw sejmowych i sejmikowych, albowiem jest to jedyny towar, który może sprzedawać magnatom. Stąd wybuchy drobnej szlachty za Jana Kazimierza i za Michała Korybuta. Magnaci, wiecznie spierając się między sobą, popychani zresztą do tych sporów, później — wprost kupowani przez mocarstwa obce, kupują szlachtę, zamieniają ją na swych dzierżawców, dworzan, protegowanych i w końcu też nie chcą zmiany ustroju politycznego, uwożliwiającego im panowanie za pomocą klientów.

Chęć odzyskania majątków ukraińskich robi ze szlachty (z wyjątkiem litewskiej) zwolenników wojny z Turcyą. Rzeczpospolita porywa się jeszcze do wyprawy pod Wiedeń. Ważność wojny z Turcyą powoduje przymierze z Rosyą za Sobieskiego, za Augusta II. Ten ostatni odzyskuje Podole i część Ukrainy; odtąd między Polską a Turcyą zapanowywa stosunek przyjazny.

Szlachta wraca do majątków, lecz nie mając środków na ich zagospodarowanie na nowo, odprzedaje je masowo Potockim, którzy tworzą sobie na kresach olbrzymie państwo i rozporządzają w niem tłumem szlachty ekonomicznie zależnej, posłusznej na skinienie, politycznie pełnię praw mającej. Czartoryscy mieli majątki i liczbę klientów znacznie mniejsze, dla nich więc w rywalizacyi z Potockimi złota wolność szlachecka była niekorzystną. Dlatego August II próbował oprzeć się na nich w swem dążeniu do wzmocnienia władzy królewskiej; dlatego też oni szukali pomocy państw obcych, w szczególności Rosyi, do przeprowadzenia reform, a to tem bardziej, że nie mając prawie w swych dobrach poddanych obrządku wschodniego, mogli z czystem sumieniem popierać równouprawnienie dyzunitów. Przeciwnie, dla Potockich, a tem bardziej dla dzierżawców szlacheckich w ich dobrach kresowych równouprawnienie dyzunitów zawierało niebezpieczeństwo rozzuchwalenia się ich poddanych. Dlatego ta szlachta dostarczyła wojowników konfederacyi Barskiej. U części tej szlachty miłość złotej wolności, w związku już z wojną kolonii angielskich w Ameryce o niepodległość, zaczęła wkrótce przekształcać się na nowe formy demokratycznej świadomości politycznej — i jest to, zaznaczamy, ważny punkt zwrotny w dziejach tej świadomości; ale znaczna jej część później, gdy stronnictwo reform, korzystając z jedynej chwili sposobnej, zrobiło zamach na samą złotą wolność, znalazła się w szeregach Targowicy.

Ruina drobnej szlachty, upadek rolnictwa wskutek wojen w końcu XVII i XVIII w. miały jeszcze inne następstwa. Z początku szlachta, wpadłszy w długi, tem bardziej narzeka na handel, mieszczaństwo i specyalnie Żydów; powoli jednak zaczęli niektórzy, pomimo zakazów stanowych, potajemnie zajmować się przemysłem i handlem. Magnaci, biorąc udział w polityce i życiu ogólno-europejskiem, potrzebują coraz więcej pieniędzy i podniesienia produkcyi. Dochodzą więc łatwo do przekonania, że praca chłopa pańszczyźnianego, tępa, niechętna, nie może być produkcyjną. To też już od Leszczyńskiego zaczynają rozlegać się z ich obozu głosy za zamianą pańszczyzny na czynsze, opłacane z gruntów, oddanych chłopom na własne gospodarstwo. Niektórzy magnaci wprowadzają ten system w swych dobrach. Ale szlachta ma pod tym względem odmienne interesy: żyje ona zaściankowo i stojąc bezpośrednio z batogiem nad karkiem chłopa, może wydusić z niego jak największej robocizny na swe utrzymanie. Dlatego próby reformy włościańskiej natrafiają u niej na najzaciętszy opór.

Magnaci rozwijają wogóle gospodarkę pieniężną, zakładają banki (Prot Potocki), a prawie wszyscy zakładają fabryki, które, obsługiwane przez robotników-poddanych, dostarczają wyrobów pierwszej potrzeby taniej, niż przywóz z zagranicy. Inne zaczynają panować poglądy na przemysł i miasta. Przyjmują się idee absolutyzmu oświeconego, a przynajmniej — oświecenia. Zaczynają się wreszcie udawać próby reform wychowania, systemu podatkowego, rządu... Lecz przemysł i mieszczaństwo są zbyt słabe, chłop — zbyt obojętny, szlachta — zbyt ciemną i zepsutą, mocarstwa ościenne — zbyt zręczne i potężne... Na każdy zaś z tych faktów ekonomicznych złożyła się długa poprzednia ewolucya społeczna, która — na danem tle geograficznem — w ostatecznych swych podstawach jest

*) Loria formułuje prawo, że wyniki wojen oddziaływają na budowę i czynności społeczeństw nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem zmian ekonomicznych, które przedewszystkiem wywołują. Nasgół biorąc — trafne, w danym wypadku sprawdza się też to prawo.

wszędzie ekonomiczną. Gorzycki to jasno wykazuje.

Krótko załatwiliśmy się tutaj z temi dziejami końcowemi, ale te rozdziały książki Gorzyckiego powinny być studyowane bardzo uważnie i bardzo szczegółowo: są one, zdaniem naszem, najlepiej, najjaśniej napisane i niezmiernie pouczające. Wątpię, czy gdziekolwiek indziej znajdzie nasz czytelnik tak treściwe, wszechstronne i jasne zestawienie wszystkich czynników upadku rzeczypospolitej szlacheckiej.

W ciągu naszego streszczenia już postawiliśmy szan. autorowi niektóre zarzuty, dotyczące treści. Teraz sformułujemy jeden ogólniejszy, dotyczący formy[1]). Idzie mi mianowicie o pewną niejasność, czasami chaotyczność, która gdzieniegdzie zapanowywa w wykładzie pomimo woli autora, pomimo jego widocznego i na wielkie uznanie zasługującego starania o jasność i porządek. Wypadki te przypisujemy niezupełnie odpowiedniemu podziałowi każdego z ośmiu okresów[2]) na rozdziały: historya polityczna, wierzenia (względnie — kościół i oświata), rozwój życia rodzinnego, rozwój społeczno-prawny, rozwój społeczno-gospodarczy. Wskutek tego podziału zdarza się pokawałkowanie jednego łańcucha zjawisk, np. rozwoju pierwszego możnowładztwa, równości szlacheckiej, rozwoju i upadku miast, wzrostu ucisku chłopa itp., powtarzanie się, czasem — wybieganie naprzód, nieodpowiednia klasyfikacya[3]), które nie ułatwiają zrozumienia. Nie będziemy się spierali z autorem o to, że historyę polityczną pomieścił w pierwszych rozdziałach, a następne ustawił w szeregu idącym od szczytów nadbudowy ku podstawom, ponieważ, jakkolwiek porządek przeciwny wydaje nam się odpowiedniejszym do systematycznego wykładu, jednak pisząc książkę popularną, autor musiał na początku każdego okresu przypomnieć rusztowanie pamięciowe faktów politycznych. Poradzimy tylko czytelnikowi, aby każdy okres przeczytał dwukrotnie, a potem — przeczytał sobie wszystkie rozdziały o rozwoju ekonomicznym, dalej — o rodzinnym itd. Przytem jednak rozdziałów o rozwoju społeczno-gospodarczym i społeczno-prawnym rozdzielać nie będzie można; i tu właśnie leży, podług nas, z punktu widzenia socyologicznego, błąd metody, popełniony przez autora. Rozwój ekonomiczny, i owszem, daje się traktować oddzielnie od prawnego i powinien być tak traktowany, ale tam tylko, gdzie mamy do czynienia z rozwojem *technicznym*: narzędzi i sposobów produkcyi samej. Są jednak całe długie okresy, w których na gruncie jednej i tej samej, prawie wcale nie zmieniającej się techniki wytwórczej zachodzą tylko, pod wpływem nabytej energii klas istniejących i pobudek zewnętrznych, wahania i zmiany w *organizacyi* ekonomicznej, organizacyi wytwarzania, wymiany, podziału. Całe dzieje Polski, aż do końca niemal jej istnienia państwowego, są dzięki wczesnemu powstrzymaniu rozwoju przemysłu, właściwie mówiąc, takim okresem. Otóż *organizacya* ekonomiczna — to już *prawo*; zatem w takich wypadkach samo przedstawienie rozwoju gospodarczego (organizacyi) nie da oddzielić się od przedstawienia rozwoju prawa ściśle gospodarczego: własnościowego, poddańczego itp. Natomiast rozwój prawa *politycznego*, jako stanowiącego mniej bezpośredni wpływ organizacyi ekonomicznej, może w abstrakcyi być oddzielony od rozwoju tej organizacyi i prawa ekonomicznego (co prawda, dopiero na wyższych, bardziej złożonych stopniach ewolucyi społecznej), i powinienby być przedstawiony osobno. Jasność i porządek wykładu zyskałyby z pewnością wiele, gdybyśmy, zamiast rozdziałów o rozwoju społeczno - gospodarczym i społeczno-prawnym, mieli rozdziały o rozwoju gospodarczo-prawnym i prawno-politycznym; rozdziały zaś o prawie rodzinnem musiałyby iść przed prawno - politycznemi.

Inny zarzut formalny: to szkicowy charakter dzieła, a w związku z tem niedostateczne traktowanie takich spraw, jak np. dzieje położenia chłopa[1]). Również w ten sposób jest traktowany rozwój międzynarodowych stosunków gospodarczych, a na ich tle — polityki handlowej i dyplomacyi, bez których trudno całkowicie zrozumieć wciągnięcie Polski do stosunków francusko-cesarsko-prusko-szwedzkich itd. Lecz tu autor ma usprawiedliwienie: pisał świadomie książkę popularną, co jest wielką zasługą, a powtóre—na dzieło obszerne, uczone, z trudnością pewno znalazłby wydawcę. Inni mogą pozwalać sobie na te zbytki... Pamiętajmy, że Lippert poświęcił dwa wielkie tomy społecznej historyi Czech tylko do czasów husyckich, a mógł to zrobić dzięki hojności bogatego Towarzystwa popierania niemieckiej nauki i sztuki w Czechach. Również prof. Maksym Kowalewski, wydając wielotomowe dzieło o powstaniu i rozwoju nowożytnej demokracyi w Europie, mógł poświęcić cały jeden tom upadkowi Wenecyi[2]), a więc przedstawić w nim szczegółowo tak zasadniczo-ekonomiczne, jak międzynarodowe, dyplomatyczne i dziejowe, czynniki tego zjawiska. Nie mówimy już o dziełach Rogersa, Lamprechta, Inamy. My poprzestawać musimy na skromnem, bo tylko na możliwem. Jeśli zaś w tych warunkach posunięcie nauki o parę kroków naprzód, co autorowi każdy przyzna, jest dowodem siły umysłu i wytrwałości, jeśli dostarczenie ogółowi możności trzeźwego, a gruntownego zrozumienia swej historyi jest czynem obywatelskim, to dr. Kazimierz Gorzycki zasłużył sobie niewątpliwie na obydwa wieńce: laurowy i dębowy.

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Józefat Nowiński: *Sienkiewicz*, Warszawa, 1901.

„Studyum“ — bo nazwijmy to tak — studyum p. Nowińskiego jest książką dość osobliwą. Niekiedy drażni, lecz najczęściej sprawia komiczne wrażenie. Zawahałem się, kładąc słowo niezbyt grzeczne, ale kto tyle, co p. Now., rozdał na wsze strony epitetów, jak: tępa głowa, pozytywno-pozytywkowy, niepowołany lecz mający się za powołanego, poszukiwacz dziur na całem, głupiec, kura, plotkarstwo, bezmyślność, głupota naturalna, ślepota przyrodzona itp. — ten chyba nie ma prawa wymagać względności dla siebie. A czyż nie jest to rzeczą komiczną napisać cały tom, by pouczyć nas, kto zacz jest Sienkiewicz, złajać wszystkich, którzy kiedykolwiek odzywali się o nim, za niezrozumienie, a wszystko z rozmachem i wysileniem aż do utraty głosu — i w końcu nie powiedzieć nic, ale to zgoła nic, oprócz tego chyba, iż słowa jego to „krytyka atomu prochu, w którym bije zachwycone i wdzięczne serce“? Czy nie wzbudzają uśmiechu co chwila składane przez autora dowody naiwności, kiedy np. informuje nas o swej osobie, bo przecież krytyka winna być podmiotową — albo kiedy na zasadzie, iż w dziełach sztuki odbija się dusza twórcy, wpada na pomysł „wyobrażania sobie, jak wyglądałby sam twórca w sytuacyach swych bohaterów...“! Czy naiwność podobna, czy też dziwactwo nie zaczyna w końcu niecierpliwić, kiedy autor przychodzi do wniosku, że „gdyby żył (Sienkiewicz) w czasach, jakie opisuje, byłby wielkim rycerzem, wielkim wodzem, wielkim mężem stanu, którybv historyę i poemat robił, zamiast je pisać“? Nie, nie dość tego — „to organizacya duchowa, której powołaniem właściwem byłby potężny czyn zorganizowania i odrodzenia społeczeństwa.“ Gdzie Rzym, gdzie Krym? We wniebowzięciu swem autor całkiem traci świadomość swych słów, wzrusza się łatwo, więc raz po raz napływają mu łzy do oczu, przesłaniając litery, które kreśli. Zresztą „darowywujemy“ (darowywować— ze słownika p. Nowińskiego) autorowi wszelkie *lapsus calami*, pochodzące z nadmiaru wzruszenia; poszukajmy raczej przyobiecanej nam krytyki, której zadaniem jest wyjaśniać, komentować, rozkładać, dawać syntezę, coś *utajonego* z dzieła wydobywać... Otwórzmy na chybił trafił książkę p. Nowińskiego. „Książę Jeremi — to wcielenie mocy, geniuszu... Postać to nawskróś natchniona... każe nam odczuć Sienkiewicz urok jego majestatu... Jednym z takich szczytnych w nastroju, porywających stylem, mądrych i obrazowych opisów jest milczące pożegnanie się księcia z Łubniami... Sobą też jest łaskawy i straszny kniaź... Chmielnicki... staje przed nami niemniej wyraźnie... Janusz Radziwiłł jest jeżeli nie więcej, to i nie mniej wyraźny... (Kmicic) wielki żołnierz i zawadyaka... Ale wtedy widok nędzy i upadku ojczyzny... budzi w nim... Inaczej może nieco jest z Bohunem... A ów moment uczty u Wiśniowieckiego, przerwany słowami Kuszla... A wojsko Jeremiego, wychodzące z pod łuku tęczy, lub dragoni Wołodyjowskiego... Podbipięta na swej kobyle...“ Wreszcie zadyszany autor staje na chwilę. Nie, to litania nie do skończenia.“ Lecz wnet znowu się rozpocznie inwentarz postaci, scen, sytuacyj, „momentów nastrojowych...“ Zapewne, układając, jak to czynię, mozaikę ze słów wyjętych stąd i zowąd, można sfałszować cudze myśli i styl, i o fałszerstwo takie łacno mię można pomówić. Ale proszę przejrzeć jakiekolwiek kilkanaście kart, a okaże się wtedy, czy krytyka p. Nowińskiego robi wrażenie pewnej całości, lub raczej jałowego spisu bez żadnej myśli przewodniej. A jeżeli się znajdą jakie uwagi ogólniejsze, to, wskutek właściwej autorowi perspektywy, nie rzucają one promieni wzdłuż i wszerz tego pola, które nam każe objąć spojrzeniem, lecz same spadają do szeregu ciągłych wykrzykników zachwytu, poddańczej pokory, dziękczynienia. „Pierwsze wrażenie swoje po przeczytaniu całości „Krzyżaków“ wyraziłbym najdokładniej pytaniem: jak człowiek mógł to stworzyć? Po *namyśle* jednak... mówię z bezwzględnem przekonaniem: ten człowiek musiał to napisać...“ Co to znaczy namysł! Geneza „Krzyżaków“ odrazu się wyjaśniła. Autor jednak na tem nie poprzestaje lecz zapuszcza się w szczegóły. Oto już w „Quo vadis“ duch Sienkiewicza znużył się „naginaniem najdumniejszego z serc do pokory,“ gdyż musiał

[1]) W nawiasie tylko pozwolimy sobie zganić niektóre nieprawidłowości językowe: żałować *za* kim (str. 146, 269, 404), ograniczać się *na coś* (375), „całą forsą“ (154).

[2]) I. Przedhistoryczny — rodowy. II. Grodowy: 966—1138. III. Feudalistyczny, do 1279. IV. Feudalistyczno-stanowy, do 1506. V. Przewaga stanu królewskiego, do 1586. VII. Złotej wolności, do 1764, VIII. Próby reform i upadek, do 1795.

[3]) Całkiem nie rozumiemy np., jakim sposobem wytworzenie się u ludu ruskiego pojęcia, że „pan, żyd i ksiądz—to jedna wiara“— tłomaczone jest w rozdziale o—rodzinie! (str. 229).

[1]) Pod tym względem dopełniliśmy i radzimy dopełnić Gorzyckiego—Doliwą.

[2]) La fin d'une aristocratie. Turyn 1901.

przedstawiać pokorny, pierwotny kościół chrześciański. „Trzeba było wrócić do domu... Czy do zmierzchu ponurego i nudnego czasów dzisiejszych!..?“ itd. Więc oto jest perspektywa na całość. A gdyby kto p. Nowińskiemu zarzucił, iż, co pisze, nie jest krytyką „po namyśle,“ oświadczyłby, że rad jest „z chwil takiego własnego nastroju krytycznego.“ Ano! Taki sam „powrót do domu“ wyjaśnia powstanie trylogii.

„Śledzenie dróg, któremi szło natchnienie na duszę Sienkiewicza, roznamiętnia mię,“ wyznaje p. Nowiński. Dróg owych wprawdzie nie wyśledził, ale przynajmniej roznamiętnił się aż do zupełnego zapamiętania. W uniesienie wprawia go jasnowidzenie Sienkiewicza w odtwarzaniu jednostek zbiorowych (kozacy w dzieguciu maczają swój ubiór, zobacz Rzewuski, Czajkowski, Gogol itd. — także jasnowidzący), chwyta go „strach nadprzyrodzony,“ rozszerzają się oczy przerażeniem, zdumiewa „niesłychana beztendencyjność“ artysty, braknie mu głosu wobec „przedziwnych suggestyj stylowych i wspaniałych porównań epicznych. Jedna scena „rozpala wyobraźnię swym dramatyzmem,“ inna jest „suggestyą i piorunem wrażenia, co duszę w proch ciska,“ a jeszcze przy innej, gdyby kto nie zapłakał, on tego człowieka „gotówby się strzec,“ bo snadź ostatecznie czarna w nim dusza. Ale gdzie tam czas na ostrożność, kiedy oto znowu moment „taki ogromny, żaduszę niby wybuch prochów rozrywa“; „gdyby kto za ten nastrój chciał dać całą nastrojowość poezyi dnia dzisiejszego, dawałby kupę piasku za górę złota.“ *Chimero!* w ziemię się zapadnij! — I tak wciąż głosem jednostajnie wysilonym i ochrypniętym. Bo jakże? Wszak Sienkiewicz jest „uświadomionem wcieleniem twórczem naszego narodu.“ Prawda to tak oczywista, że p. Now. nie chce jej wykazywać; ma zresztą pilniejszą sprawę. Oto gdyby mu kto powiedział, że „albo przepadnie z owego opisu jeden wiersz (ukazanie się Jadwigi), albo żebym na śmierć szedł, tobym się wstydził, gdybym nie poszedł.“ Wspaniale! Lecz nie uśmiech już, ale najwyższy niesmak wzbudzają takie oto rzeczy: „Sama wspaniałość niektórych scen (więc nawet nie całość działalności twórczej, albo przynajmniej to lub owo dzieło) mogłaby mu zapewnić *tuzin takich nieśmiertelności*, na jakie stać *marną*, kilkunastomilionową garstkę...“ W chronicznym zawrocie głowy, którego autor doznaje, postać Sienkiewicza tak mu wyolbrzymiała, że pochłonęła nietylko jego samego, ale nawet... ową *marną* garstkę...

Wobec takiego wyskoku zaledwie warto wspomnieć o utajonych w tchórzliwem pochlebstwie odruchach zoilowskich; a jednak i to jest bardzo komiczne. Nieśmiało wypowiadając swoje, lub tylko powtarzając cudze zarzuty, autor zgina się natychmiast w pokłonie i bije się skruszony w piersi, wołając z rozpaczą: ach, to z pewnością cudne, konieczność tego „leży nie w logice wymagań formalnych ciasnej krytyki, lecz w nieskończenie wyższej logice twórczej, której drogi daj nam Boże pojąć choć wtedy, gdy nam je sama wskaże,“ a oto taki jestem ślepy i niemądry, że jeszcze logiki owej przeniknąć nie umiem, i ukrytych przedziwności wykryć nie mogę. Nic to. P. Nowinski starań przyłoży i z błędów swych oczyści się na pewno. Nieraz już przecie „w zalety po namyśle (nieoceniony namysł!) obracały mi się wady rzekome.“ Helena bez wspomnienia, bez żalu pozostawia w Rozłogach ślepego Wasyla na oczywistą śmierć i męczarnie? Ależ właśnie w tem spoczywa „najwyższy takt artysty,“ gdyż zbyteczna suggestyjność w tym punkcie mogłaby „oderwać myśl naszą od rzeczywistych i większych bohaterów epopei.“ No, proszę! Szczegół, o którym mowa, jest o tyle drobnym, iż na skalę naszego sądu wpłynąć nie może, a tłomaczy się poprostu zapomnieniem ze strony autora, lecz p. Nowińskiemu chodziło o wywrócenie jeszcze jednego koziołka krytycznego. Inny przykład: Powiadają, iż losy bohaterów powieściowych w Trylogii i „Krzyżakach“ nie wiążą się harmonijnie z wypadkami większej doniosłości. Prawda, lecz to jest genialne, gdyż w ten sposób działanie żywiołowych potęg nie osłabia się we wrażeniu sympatyami naszemi. Winicyusz i Ligia, Zbyszko i Jagienka ustępują w cień przed postaciami z założenia drugoplanowemi, jak Petroniusz, Jurand itd.? Tak być powino, to dowód, że dla Sienkiewicza nie istnieje maniera, że jest nawskroś oryginalnym. Legenda „Na Olimpie“ banalna? Ależ to tylko „ptak żartu wiosennego.“ Nie, nie żart? „Najpierw bym nie uwierzył, a potem bym się zmartwił swoją bezwzględną niezdolnością zrozumienia tego.“ Ale cóż znowu, dlaczego tak zaraz się martwić, zwłaszcza temu, kto w takim stopniu, jak p. Now., posiada zdolność mistyków średniowiecznych wierzenia *quia absurdum*... Nie należy też zbyt nizko trzymać o swej umiejętności zamiany intencyj autorskich całkiem mu obcemi. Niech sobie przypomni jeno, jak gładko zaznaczył, że tragedya Płoszowskiego tkwiła bynajmniej nie w dość powierzchownym sceptycyzmie, strzegąc się atoli nawet pozoru, że takie rozumienie postaci rozmija się z zamiarem jej twórcy; niech przypomni sobie, jak później kazał nam wierzyć, że istotną mową „Rodziny Połanieckich“ jest taka: „Ogniste dusze i wyobraźnie same znajdą prawdę swoją, a oto pokażę wam człowieka *zaledwo* przeciętnie dobrego i inteligentnego...“ A wreszcie na dowód prawdziwości swych spostrzeżeń i szczerości wrażeń, posiada p. Nowiński jeszcze pewien wypróbowany środek, który go od zmartwień bez wątpienia uchroni — to prysnąć w oczy żółcią... wszystko jedno komu: Tarnowskiemu (chwalił „Potop,“ ale po profesorsku, i Kordecki był mu za mały), Chmielowskiemu („mądra krytyka,“ wstydząca Sienkiewicza Homerem), Matuszewskiemu (tylko „naiwność bezwzględna“ może to a to mówić o Połanieckim) itd. Pomniejszym, jak Bukowińskiemu, Hösickowi dostało się mocniej... A mimo to autor utrzymuje, że nie pragnie składać Sienkiewiczowi „krwawych ofiar ludzkich.“ Ba, gdyby to od niego zależało! P. Nowiński „służy“ pod Sienkiewiczem (w owe czasy Jeremich i Czarnieckich mówiono mniej uniżenie: służę z hetmanem). Dla nas władca dnia dzisiejszego najukochańszym pisarzem nie jest. Dlaczego? P. Nowiński nie zrozumie, a z kołczanu swego wydobędzie natychmiast takie strzały, jak: zazdrość, tendencya, „jakby kto dziecku głodnemu krzyczeć zabronił,“ głupota naturalna itp. O potędze talentu Sienkiewicza nie zapominamy jednak ani na chwilę. Lecz gdyby nawet wszystko w utworach pisarza było przedziwne, genialne itd., wartość książki p. Nowińskiego pozostałaby nadzwyczaj mierną, gdyż nic nam nie daje.

A. Drogoszewski.

ODCZYTY.

Odczyt dr. Orłowskiego o „Hypnotyzmie i suggestyi“ był bardzo pouczającym przykładem, jak w przemówieniu długiem niezmiernie powiedzieć można stosunkowo niewiele. Prelegent, widocznie nie zdawał sobie dokładnie sprawy z formy, w jaką należało ubrać podobny odczyt: z jednej strony utrzymany był on w tonie gawędziarsko-salonowym, z drugiej zaś, naszpikowany wyrażeniami w rodzaju „assocyacya,“ „halucynacya,“ „przemiana materyi“ itd. Jakkolwiek są to wyrażenia używane w potocznej mowie dość często, jednak przekonany jestem, że trzy czwarte słuchaczy nie zdawało sobie dokładnie sprawy z ich znaczenia. Sam temat — niezmiernie ciekawy i ponętny — oświetlony był przez prelegenta raczej ze strony anegdotycznej, aniżeli istotnie naukowej. Cała pseudo-historyczna część odczytu, opowiadanie o „sakwach napełnionych złotem,“ o „rozrzewniającej naiwności margrabich“ o „bezpowrotnych wyrokach akademii,“ mogła być z prawdziwym pożytkiem dla słuchaczy pominięta. Nie mogąc zatrzymywać się tutaj na poszczególnych punktach odczytu, zdaje się, jednak, że autor silnie przecenił leczniczą wartość hypnotyzmu i zbłądził, przedstawiając tę kwestyę przed *forum* niepowołanych w oświetleniu stronnem. Można być osobiście zwolennikiem szkoły Salpetrière czy Nancy — jest to rzecz dla innych zupełnie obojętna, ale nie wolno było przemilczeć, że dzisiaj hypnotyzm, jako *metoda lecznicza*, został w świecie naukowym zdyskredytowany, że uciekać się do niego można tylko wtedy, kiedy wszelkie inne środki zawodzą i, że bardzo wybitni uczeni uważali za „nieszczęście, gdyby się leczenie hypnotyzmem rozpowszechniło.“ I kwestyę powstawania snu hypnotycznego wyłącznie drogą suggestyi, przedstawił prelegent także w świetle zbyt jednostronnem; autorowi zdają się być obce doświadczenia (Schaffera), gdzie przy zupełnem wykluczeniu suggestyi li tylko drogą odruchową wywoływano stan hypnozy. Także wyjaśnienie o nieszkodliwości suggestyonowania czynów zbrodniczych w stanie hypnozy było błędne: nieprawdą jest bowiem, jakoby zasuggestyonowanie zbrodni było zupełnie niemożliwe dlatego, że natura ludzka sprzeciwia się takim czynom. Wszystko zależy tutaj od podłoża, na które pada suggestya, natury i charaktery silne oprą się takiej suggestyi, natomiast cały szereg moralnych charłaków nie oprze się jej tak, jak nie oprze się i suggestyi występnej w życiu codziennem na jawie. Przytem prelegent tak przepełnił ramy odczytu opowiadaniami wyjętemi z dzieł innych autorów oraz własnej praktyki (niektóre wątpliwej autentyczności np. opis śmierci delikwenta po wrzekomem przecięciu żył), że nie pozostało mu już miejsca ani ochoty na zaznajomienie słuchaczów z kwestyami wielkiej wagi, ściśle związanemi z tematem odczytu. Nie powiedział więc nic o roli symulacyi, nie poruszył zupełnie niezwykle ciekawej kwestyi hypnotyzmu u zwierząt, doświadczeń Czermaka, Preyera, Heubla, Danilewskiego, Verworna (doświadczenia tego ostatniego nad okularnikami zupełnie identyczne były z produkcyami egipskich zaklinaczy wężów). Wreszcie poświęciwszy najniepotrzebniej wiele miejsca sądowo-lekarskiemu znaczeniu hypnotyzmu i suggestyi, nie zatrzymał się ani na chwilę na społecznej doniosłości tego niezwykłego zjawiska. Nie mówił więc nic o roli, jaką odgrywa suggestya w kształtowaniu się psychologi tłumu, o powstawaniu paniki, o powstawaniu zbiorowego bohaterstwa na polu bitwy, o całej demonologii średniowiecznej z punktu widzenia nauki o suggestyi, o suggestyi korrelatywnej, o t. zw. infekcyi psychicznej, o konwulsyach, nawiedzających całe klasztory mniszek, o wpływie suggestyi na powstawawanie sekt religijnych i wogóle o wpływie jej na cały rozwój zbiorowej duszy społecznej. A szkoda: byłoby to daleko ciekawsze, niż opowiadanie o przypadku małej Julci i jej pomarańczy (z własnej praktyki). Na zakończenie dwa pytania: Czy koniecznem jest, ażeby absolutnie każdy odczyt treści przyrodniczej kończył się liryczną tyradą na cześć potęgi wiedzy i przyszłości, która kiedyś doszczętnie rozproszy jej tajniki? I czy nie zbytecznem

jest umieszczanie w *Kuryerze* przed odczytem biografii lekarza, mającego wygłosić odczyt?

wł. st.

O prawdę.

In verba magistri?

Panowie Stanisław Grabski i Władysław Studnicki, pierwszy w swym artykule p. t. „Stosunek jednostki do społeczeństwa itd.“ (nr. 3—5 *Prawdy* z r. b.), drugi—w odpowiedzi na moją krytykę jego „Wyodrębnienia Galicyi“ (nr. 7), chociaż mówili o zupełnie odmiennych kwestyach, postawili mi przecież jednobrzmiący zarzut. Zdaniem ich, ja bezkrytycznie wierzę w Marxa, a „czego on nie złamał, przed tem pasuję.“ Bezstronnemu czytelnikowi mych prac, od „Kryzysu marksizmu“ w *Przegl. Filoz.* do „Muzyki i ekonomii“ w *Prawdzie*, ośmielam się pozostawić sąd o słuszności tego zarzutu. Zanim jednak wymienionym szan. autorom odpowiem każdemu poszczególnie, pozwolę sobie ostrzedz ich przed łatwością, aby nie powiedzieć — płytkością podobnej krytyki. Wiedzą oni zapewne o tem, że istnieje nietylko naśladownictwo pozytywne, ale i negatywne, które bynajmniej o większym stopniu krytycyzmu nie świadczy. Gdy zaś, równolegle z „kryzysem,“ rozpowszechnia się u nas taki sposób reagowania na czyjąś rzeczową krytykę: „Aha! pan przyznajesz słuszność Marxowi“ — albo nawet poprostu: „aha! pan czytałeś Marxa“ (bo, co prawda, staje się to rzadkością, a więc — winą...) — „to dość; znamy pana: dogmatyzm, bezkrytyczność, nie warto dłużej gadać“—to doprawdy wobec takich ułatwień zadania niepodobna nie przypomnieć sobie słynnego mostu Buridana...

Tyle—obydwom szan. przeciwnikom. Teraz — słówko każdemu z osobna.

I.

P. Wład. Studnicki podał w odpowiedzi swojej tylko jeden *rzeczowy* argument. Twierdzi on mianowicie, że konserwatywna, szlachecka partya przestaje stopniowo uważać uprzemysłowienie Galicyi za niebezpieczne i zaczyna skłaniać się ku tej idei. Ale sam p. St. dodaje, że teraz nastaje epoka złudzeń, że ogólne austryackie środki państwowe wytworzą w Galicyi przemysł. Innemi słowy, znaczy to, że jeśli nawet konserwatyści zaczynają mówić o uprzemysłowieniu Galicyi, to praktycznie poprzestaną na starej swojej żebraninie w Wiedniu. Co dostaną, tem się po staremu zadowolą. Nie wyniknie stąd ani uprzemysłowienie, ani — tem mniej — wyodrębnienie Galicyi, o które przecież p. St. głównie chodzi. Na inną taktykę, radykalniejszą, względem rządu austryackiego, galicyjscy konserwatyści nie zdobędą się nigdy, bo zbyt jest im niezbędne poparcie całej machiny państwowej. Zupełnie źle skierowane są nauki moralne p. St., że „prawdziwa demokracya nie szuka bezskutecznej obrony zewnątrz kraju.“ Wiemy aż nadto dobrze, że *rządy* wiedeńskie, czy z Badenim, czy z Körberem na czele, obrony tej nie dają i są zawsze w gorącej, albo co najmniej ciepłej przyjaźni z Kołem polskiem: ale też ta demokracya nie jest o tyle zasobna w środki obrony, aby mogła wyrzekać się *parlamentu* wiedeńskiego, gdzie ma wstęp, dla sejmu lwowskiego, gdzie go nie ma. P. St. chce, aby wyodrębnienie Galicyi było zarazem jej demokratyzacyą — i my go też tak rozumiemy, nie utożsamiamy — jak inni krytycy — jego hasła z hasłami autonomistów konserwatywnych. Ale jeżeli idea wyodrębnienia, jak p. St. zdaje się teraz spodziewać, ma być urzeczywistniona przez konserwatystów, przez teraźniejszą reprezentacyę Galicyi w Wiedniu, to skądże tu nadzieja równoległej domokratyzacyi? Na to zaś, aby wyodrębnienie było zdobyte przez kogo innego, czyli, żeby w Wiedniu, w polityce względem Niemców i Czechów, reprezentowały Galicyę inne, radykalno-ludowe, demokratyczne żywioły, czyli aby opozycya zwyciężyła w Galicyi konserwatystów, trzeba, aby Galicya przedtem została uprzemysłowiona... Na tem to błędnem kole oparłem swe powątpiewanie, czy dla Galicyi—jak wogóle dla Austryi—jest wyjście jakieś z położenia krytycznego *drogą normalną*. P. St. ten ostatni dodatek, cytując mnie, zupełnie przepuścił — dzięki czemu mógł już sobie swobodnie powiedzieć, że „ja nie mogę sobie rady dać z tą kwestyą.“ A to przecież wcale nie jest to samo...

P. St. pisze: „Istnieją antagonizmy społeczne, przez Marxa nieuwzględnione, walki narodowe, należą one do czynników przeobrażających stosunki polityczne i ekonomiczne.“ Już w zastosowaniu do samego Marxa nie jest to prawda, a już krzyczącą nieznajomością — albo udawaniem nieznajomości rzeczy, jeśli chodzi o najbliższych jego współpracowników i uczniów, Engelsa i Kautsky'ego itd. Ale istotnie, jeśli p. St. sądzi, że człowiek, zaprawiony na *metodzie* Marxa, czyli przyzwyczajony pod mniej lub więcej krzykliwymi objawami zewnętrznymi walk narodowych szukać istotnych, realnych tendencyj — że taki człowiek nie może uwierzyć w *szczerość* haseł Schönerera, Wolfa *et com.* wogóle, a w szczególności w to, że *naprawdę* poparliby oni wyodrębnienie Galicyi — to p. St. ma zupełną racyę. Istotnie, wiarę taką muszę pozostawić memu „krytycznemu“ przeciwnikowi. Co do mnie, jestem najmocniej przekonany, że gdyby to naprawdę od nich zależało, gdyby mieli rząd w rękach lub wywierali na niego wpływ, Niemcy ci chętnieby może pozbawili Galicyę wszelkiej reprezentacyi w parlamencie wiedeńskim, jak wogóle wszelkich praw, gdyby nie daliby jej samorządu ekonomicznego, i to nietylko z dbałości o interesy zbytowe przemysłu niemieckiego, ale i o interesy państwowe Austryi, jako państwa niemieckiego.

K. Kr.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

W dziennikach kijowskich ogłoszono następujący komunikat generał-gubernatora, celem zapobieżenia kłamliwym pogłoskom o zaburzeniach ulicznych w Kijowie: „W dniu 15 lutego na Kreszczatiku z pośród przechadzającej się publiczności wyszło na środek ulicy 50 do 60 studentów i rzemieślników z okrzykami „hura“ i wywiesili kilka sztandarów czerwonych. Otoczeni przez policyantów, manifestanci stawili opór i kijem zadali w głowę dwa ciężkie ciosy komisarzowi Zakusiłowowi i lżejsze rewirowym, oraz szeregowcom. Następnie w ciągu d. 15 i 16 lutego w różnych punktach miastach z pośród publiczności wychodziły na ulicę niewielkie grupy demonstrantów i tworzył się tłum, który policya i wojsko niezwłocznie rozpędzały. Przy rozpraszaniu tłumu na bulwarze Bibikowa mieszczanin Chaskel Aronow, który uderzył kozaka i zciągnął go z konia, poniósł szwank i odesłano go do szpitala. Rozpowszechnione pogłoski, jakoby zabito i raniono wielu studentów, są zupełnie niezgodne z prawdą. Zabitych niema, a z pośród aresztowanych dwóch zaledwie jest ranionych. Może być, iż liczba ich była większa. Osoby aresztowane, na mocy rozporządzenia generał - gubernatora, zostały skazane: na trzy miesiące aresztu 27 osób, na dwa miesiące 56 osób, na miesiąc 16 osób, na dwa tygodnie aresztu 13 osób.“

KRONIKA.

M. W. Gogol. Dnia 6 marca cała Rosya obchodziła 50-tą rocznicę śmierci wybitnego i bardzo popularnego pisarza, Mikołaja Gogola-Janowskiego. Wielkiem powodzeniem cieszyły się i dotychczas nie są zapominane takie utwory pierwszorzędnej wartości, jak „Martwe dusze,“ „Rewizor,“ „Taras Bulba,“ „Pamiętniki waryata“ i „Wieczory na chutorze.“ Wszystkie te dzieła były przetłomaczone na język polski. Gogol urodził się 1809 r. w gub. Połtawskiej. Po wyjściu z gimnazyum nieżyńskiego próbował karyery aktorskiej, ale na tem polu doznał niepowodzenia. Bliższe zetknięcie się z Puszkinem oddziałało znacznie na jego twórczość i było bodźcem. Praca literacka bardziej go pochłaniała i zajmowała, niż obowiązki służbowe. To też porzuciwszy urzędowanie, wyjechał za granicę i przebywał głównie w Rzymie. Umarł w Moskwie 1852 r.

Rozporządzenia urzędowe. Ogłoszono rozkaz gubernatora tomskiego, zabraniający gromadzenia się na ulicach i miejscach publicznych w miastach: Barnaule, Bijsku, Kaińsku, Maryińsku oraz w osadzie Nowo-Nikołajewskoje.

Z uniwersytetów. Wydział filologiczny uniwersytetu warszawskiego wyznaczył jako temat prac piśmiennych, nagrodzonych medalami: „Wielki książę Witold i Ruś zachodnia.“ Za materyał do tej pracy służyć mają źródła historyków rosyjskich i polskich.

— Z funduszu im. Mikołaja Kopernika przyznano w r. b. następujące stypendya studentom oddziału matematycznego na wydziale fizyko - matematycznym: Stan. Muszkatowi z III kursu i Fr. Drozdowskiemu z II kursu po 300 rb., Józefowi Adamskiemu z IV kursu 150 rb. i Kazimierzowi Sacharko 100 rb. zapomogi jednorazowej.

— Gazety petersburskie donoszą, że w jesieni na pierwszy kurs politechniki petersburskiej przyjętych będzie na oddziały: finansowo-ekonomiczny 240, budowy okrętów 70, elektro-mechaniczny 100, metalurgiczny, podzielony na dwa oddziały, właściwy metalurgiczny i elektro-chemiczny 100 kandydatów. Internat obliczono na 1,650 studentów. Przyjmowanie odbywać się będzie bez konkursu.

— Historyk Szymon Askenazy mianowany został profesorem uniwersytetu lwowskiego.

— Do uniwersytetu petersburskiego uczęszcza w r. bież. 3,775 studentów, z tej liczby na wydział historyczno-filologiczny 249, matematyczny 558, przyrodniczy 742, prawny 1,906, języków wschodnich 253.

Szkoły. W średnich zakładach męskich i żeńskich rządowych wprowadzone będą w r. b. następujące przepisy promowania uczniów do klas wyższych: mający z każdego przedmiotu najmniej trójkę za rok szkolny, przechodzą bez egzaminów; mniej niż trójkę z jednego lub dwóch przedmiotów — podlegają egzaminowi z tych przedmiotów po wakacyach; ci, którym wypadnie więcej niż dwa niedostateczne ze stopni rocznych, pozostają w klasie na rok drugi. Egzaminy przejściowe na wiosnę dozwolone będą tylko w razach wyjątkowych, mianowicie tym uczniom, którzy otrzymają jeden stopień niedostateczny za rok szkolny.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa opracowało projekt reformy niższego i średniego wykształcenia rolniczego.

— Od lipca 1993 r. w Kamieńcu Podolskim ma być otworzona ośmioklasowa szkoła techniczna.

— Ministeryum skarbu zmieniło dawne postanowienie i pozwoliło instytucyom naukowym na przewożenie przyborów szkolnych bez opłaty cła, z warunkiem, aby każdy zakład naukowy, pragnący korzystać z tej ulgi, uzyskał naprzód pozwolenie ministeryum.

Dla kobiet. Zmarły przed kilku laty w Warszawie Edward Łojko przeznaczył testamentem nieruchomość swą przy ulicy Aleksandrya na rzecz przyszłego uniwersytetu dla kobiet i oddał ją pod zarząd magistratu, który obecnie zwrócił się do prokuratoryi z prośbą o wydanie opinii, czy zapis jest ważny wobec nieistnienia uniwersytetu w chwili sporządzania testamentu i kto ma być legataryuszem: zarząd miejski miejski czy okrąg naukowy i czy legat uznać należy za uczyniony na rzecz uniwersytetu żeńskiego (testament z r. 1893), czy też na rzecz jego słuchaczek (testament z r. 1882).

— Ministeryum oświaty otrzymało od uniwersytetu genewskiego urzędowe zawiadomienie o warunkach, które żądane będą od studentek z Rosyi, zapisujących się na wydział lekarski. Na mocy uchwały tego wydziału z d. 3 października 1901 r., kobiety, które ukończyły gimnazya żeńskie w państwie rosyjskiem i pragną wstąpić do uniwersytetu w charakterze rzeczywistych studentów, tj. takich, którzy mają prawo przystępowania do egzaminów na bakałarza nauk lekarskich i na doktora medycyny, obowiązane są przedstawić do kancelaryi uniwersytetu, poczynając od przyszłego semestru letniego, następujące dowody: 1) świadectwo z ukończenia kl. 7-ej gimnazyum rządowego; 2) świadectwo dodatkowe (z kl. 8-ej); 3) świadectwo dodatkowe o złożeniu egzaminu z języka łacińskiego.

Hakata. Dnia 12 kwietnia przed sądem Rzeszy w Lipnie odbędzie się rewizya procesu wrzesińskiego.

— Wytoczono proces fotografowi Furmankowi za rozpowszechnianie fotografii Piaseckiej i kilku innych osób ze sprawy wrzesińskiej. Rząd pruski dopatrzył się w tem podburzania do gwałtów.

Z Galicyi. W sprawie torturowania żołnierzy w wojsku austryackiem w Galicyi, a głównie z powodu śmierci spowodowanej zawieszeniem żołnierza na kółku („Aubinden“), stawało przed sądem siedmiu redaktorów pism lwowskich, oskarżonych o występek prasowy, którego władze wojskowe dopatrzyły się w umieszczeniu notatek o barbarzyńskim czynie.

Prasa. Ministrowie: spraw wewnętrznych, oświaty i sprawiedliwości, oraz oberprokurator św. Synodu postanowili znieść na zawsze wydawnictwo gazety Rossija.

Weterynarze. Istniejące obecnie w Królestwie Polskiem posady weterynarzy okręgowych i nadetatowych zostały zniesione, natomiast utworzono etaty weterynarzy powiatowych z płacą 1,000 rb. Nadto w każdym powiecie ustanowiono felczerów weterynaryjnych z pensyą 300 rb. Na ten cel podwyższono dotychczasowy podatek księgosuszowy, wynoszący 1 kop. od sztuki bydła rogatego.

Koleje i komunikacye. Na wszystkich kolejach rosyjskich utworzone będą bezpłatne kursy o dawaniu pierwszej pomocy i pielęgnowaniu chorych i rannych.

— Departament kolejowy zawiadamia, że partye przesiedleńców, udające się do którejkolwiek miejscowości Cesarstwa, w razie przerwania podróży koleją przed miejscem przeznaczenia, mają prawo żądać zwrotu pieniędzy za przestrzeń nieprzebytą.

— Rozpoczęto roboty w celu przeprowadzenia telefonu między Londynem a Brukselą.

Telegraf. W głównym zarządzie poczt i telegrafów poruszono sprawę zniżenia opłaty za przesyłkę depesz wewnątrz państwa.

— W paryskim urzędzie telegraficznym dokonano na linii Paryż-Lyon prób z nowym przyrządem, dokładnie odtwarzającym pismo. Próby dały wyniki pomyślne.

Kasy. W państwowych kasach oszczędności wprowadzono niektóre udogodnienia: można wnosić oszczędności bez złożenia książeczki, za wydaniem pokwitowania; wysyłanie wkładów pocztą może być uskutecznione nietylko pod adresem uczestnika kasy, lecz i pod adresem osoby przez niego do odbioru upoważnionej.

— Przy niektórych gimnazyach warszawskich otworzono kasy oszczędności dla uczniów.

Rolnictwo. Senat ogłosił, że na mocy praw obowiązujących przy sprzedaży gruntów włościańskich za zaległe opłaty wykupne, należy sprzedawać również znajdujące się na tych gruntach zabudowania.

Cło. Departament opłat celnych wyjaśnił, że osoby prywatne, podające do komór prośby opatrzone dwiema markami stemplowemi właściwej wartości, mają prawo żądać odpowiedzi piśmiennej na swoje przedstawienie.

Matylda Serao, głośna powieściopisarka włoska, pociągnięta została do odpowiedzialności sądowej za współudział w nadużyciach władz miejskich w Neapolu. (Obszerniejszą wiadomość o tej sprawie pomieściliśmy w nr. 5 *Prawdy* w artykule p. t. „Eviva la Camorra“).

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Rozalii P. W tej sprawie najlepszych objaśnień udzieli Księgarnia Polska, Warecka 14.

P. Essen. Artykułu nie pomieścimy.

OFIARY.

Na wpis dla studenta politechniki.

P. N. Ambrozow . . . . rb. 15

Na wpis dla studenta.

Pani Z. Kwaśniewska . . . rb 1 kop. 10

Wyszedł, jako osobna książka, dołączony w dodatku do „Prawdy“ dalszy ciąg wydawnictwa „Wiek XIX,“ p. t.:

Wiek cudów

Alfreda Wallace'a (tłom. z angielskiego).

Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Февраля 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.